

PARYŻ

I JEGO OBYCZAJE.

PAWŁA DE KOCK

w DWÓCH TOMACH

Z FRANCUZKIEGO

**LA GRANDE VILLE, NOUVEAU TABLEAU DE PARIS, COMIQUE, CRITIQUE
ET PHILOSOPHIQUE.**

TOM II.

WARSZAWA,

W DRUKARNI PRZY ULICY RYMARSKIEJ N. 743.

1843.

57379

ALFONSO GONZALEZ

1900-1901

1900-1901

1900-1901

OGRÓD BOTANICZNY.

Gdy mały chłopiec dobrze się sprawował, nauczył lekcyi, mówi:

— Mamo bardzo byłem grzeczny.... pójdziem zobaczyć niedźwiedzia.

Wtedy czuła mama głaszcze syna mówiąc:

— Tak kochanku, dobrześ wykonał swe obowiązki.... opowiedziałeś bez myłki bajkę: *Zwierzęta na zarazę chore*.... zasługujesz widzieć niedźwiedzia; ojciec cię zaprowadzi.

Papa nogi poprawia, podnosi głowę, przy-

biera poważną twarz, głaszcze się po udach i odpowiada:

— Czy Gustaw umie doskonale bajkę: *Zwierzęta chore na zarazę!*...

— Tak kochany Papo, raz tytkom się omylił; czy pozwolisz papa sobie powtórzyć... z pamięci....

— Chcę Gustawie; ale pamiętaj.... jeśli więcej jak trzy zrobisz błędy, nie zobaczysz niedzwiedzia!

Wyrzekłszy to, papa wywraca się z poważną miną w fotelu à la Voltaire, w którym sądzi że ma minę wielkiego poety; mały zaczyna dłubiąc w nosie, może aby tam bajkę poszukać, potem opowiada głosem niepewnym:

— *Złe które strach sprawia!... strach... w swym najwyższym stopniu.... stopniu.... Strach... strach!*

Ojciec zaczyna marszczyć brwi, widząc że syn nie chce wyjść ze strachu; ale mały chłopiec stanowczo odpowiada:

— Tak kochany papo, istotnie na pamięć nie umiem bajki: kuzyn mój mówił że papugi tylko tak się uczą, a niechcę się uczyć aby być do papugi podobnym; ale jeśli pozwolisz papa opowiem bajkę!...

— Chcesz treść bajki opowiedzieć?

— Tak, chce opowiedzieć aby przekonać żem ją pojął.

— Dobrze, pozwalam na to. Stucham, rozbieraj Gustawie bajkę: *Zwierzęta chore na zarazę.*

— Mój papo, jest zaraza w jakim kraju.. brzydka to choroba.... boli brzuch, żółknienie się, chudnie, prawda?

— Nie mogę tego potwierdzić.... zapytam doktora; ale niech tak będzie.

— Zwierzęta nie tworzą się zarazą..... jak my nie lubimy bólu?

— Bardzo dobrze; mów dalej.

— Najmniejsze zwierzęta mówią: Trzeba aby które padło ofiarą zarazy.... to tak jak papa mówi do mamy: Kto dziś pójdzie do piwnicy?

— Doskonale! mów dalej.

— Wreszcie najzłośliwsze mówią: że nie zrobią głupstwa aby się poświęcić.... Ale osioł wtrąca się w rozmowę: wtedy go biorą i poświęcają; jak papa gdy gra w mruczka.... inni uciekają, łapią papę, i jesteś mruczkiem.

— Brawo! doskonale rozebrałeś.... pojedziesz zobaczyć niedźwiedzia.

Papa całuje syna; który kładzie chleb, do kieszeni dla poczęstowania zwierząt, dla tego zapewne że ich częstować nie wolno jadą do ogrodu botanicznego, który również jest ogrodem zwierząt.

Ogród ten założony w r. 1635 najpiękniej-

szym jest z istniejących w Europie; leży na lewym brzegu Sekwany naprzeciwko mostu Austerlitzkiego. Dla amatorów i uczonych jest najlepszym ogrodem botanicznym, bo ma umiarkowane i gorące trephauzy, menażeryą żywych zwierząt obcych naszemu klimatowi. Wreszcie muzeum historyi naturalnej złożone z wielu galeryi, gdzie znajdujemy liczny zbiór trzech królestw natury.

Ogród ten przyjemnie urządzony, z jednej strony ma widok Swajcaryi, z jej wzgórzami kozami, mostami i łąkami; dalej labirint bardzo uczęszczany przez tych którzy naumyślnie zabłąkać się pragną: możemy jednak uprzedzić że ich nadzieje będą próżne, i że labirint, ogrodu botanicznego jest spacerem bardzo niewinnym prowadzącym wprost do Belwederu skąd oko spotyka dość dużą część Paryża, a nawet jego okolic.

Wreszcie ogród ten jest przyozdobiony ogromnym okratowanym domem, zamieszkanym przez małpy. Mały ten rodzaj ludzi którego gry, skoki i grymasy zachwycają włóczęgów, błaznów, niańki i dzieci jest doskonale umieszczonym w ogrodzie botanicznym; bardzo obszerna klatka zawiera staw napelniony wodą, huśtawki, powrozy i wreszcie małe komórki w które małpy wchodzi wraz z zimna lub napaści dozorca.

Muzeum historyi naturalnej jest tylko dla publiczności dwa razy w tydzień otwarte, ale co dzień widzieć można zwierzęta.

Zaledwie wejdziesz do ogrodu od strony Sekwany, nieprzyjemny odór oznajmia ci w której jesteś stronie. Lwy, tygrysy nie pachną jak jaśmin. Ta część ogrodu jest powszechnie schadzką cudzoziemców, mieszkańców wsi, nianieł, rekrutów i w ogóle wszystkich, którzy nie mogą dosyć się nadszawić zgrabności tygrysa i postępowaniu lwicy. Ale miejcie się na bacności dobrzy ludzie, podczas gdy wy na czworonożne spoglądacie zwierzęta są za wami dwunożne zręcznie wsuwające ręce w wasze kieszenie... i dopiero gdy skończycie ze zwierzętami, zadziwieni nie macie woreczka, zegarka, chustki, lub tabakierki.

Tam także usłyszysz gadatliwego mówcę, wesołość ludu stanowiącego, zwykle dość zle ubranego, który chcąc ściągnąć uwagę ciekawych i dać sobie minę rozumną, człowieka który dużo podróżował, zawoła, pchając wszystkich aby przybliżyć się do zwierząt:

— Ah!..... lew!... ja to znam... widziałem wiele innych! sądzą że on jest zły, obawiają się go, ale on wcale złym nie jest!... W Afryce ugłaskałem dwóch których chciałem zaprządz do pojazdu, ale kommissarz

policyi sprzeciwił się temu, obawiał się przypadku.

Wszyscy się obracają, nadstawiają uszy, ogromne robią oczy, aby widzieć jegomości który chciał mieć lwów w zaprzęgu. Uniesiony wrażeniem jakie sprawił nasz jegomość mówi dalej:

— Ah! oto tygrys.... biedny tygrys! słabą ma minę.... Gdyby się z nim obejść umiano można bawić się jak z kotem: gdyby klatkę otworzono wszedłbym natychmiast, spokojnie by leżał przy mych nogach.

— Oto jest dozorca! rzecze jeden z widzów sądząc że jegomość ten istotnie wejść chce do klatki. Ale uchodzi on zaraz, ten nieustraszony jegomość nie śmiałby wejść do swego pokoju gdyby mysz zobaczył.

Ale wróćmy się do Gustawa i jego ojca. Idą ku kozłom, merynosom i pawiom.

Mały chłopiec daje chleb merynosom które mu liżą ręce, i kozłom które go głową biją. Pyta się ojca dla czego kozły źle to przyjmują. Papa zaś po długim namyśle, odpowiada:

— Należy to do historyi naturalnej.

Młody chłopiec chciał dać jeść bawołom a nawet słoniom. Papa uwielbia miłość dziecka ku bydłom, całuje go mówiąc:

— Będiesz dobrym synem.

Potém ojciec i syn dążą ku niedźwiedziom.

Zwierzęta te zajmują dość rozległe fossy; dawniej prosta poręcz strzegła ciekawych od wypadnięcia w fossę; ale ponieważ są ludzie niepoprzestający na patrzeniu, ale wychylają się, ponieważ nianki częstokroć tyle nierozsądnemi były że kładły dzieci na poręczy aby lepiej widziały zwierzęta, okropne zdarzały się wypadki. Niedźwiedzie pokazały że wcale przyswojonemi nie były.

Dzisiaj nad poręczą umieszczono kratę bardzo wysoką co przeszkadza wypadnięciu do niedźwiedzi.

Obecność małp jest bardzo przykra niedźwiedziom: wielki dom okratowany ściąga teraz wielu widzów. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starce przychodzą uwielbiać skoki, złośliwość nadzwyczajną, dziwne ruchy zwierząt dla których girafę nawet opuszczają.

Zawsze znajdziesz wiele spacerujących w części téj ogrodu i w alejach zwierząt rogatych; jeśli pragniesz odosobnienia; jeśli chcesz rozmawiać swobodnie; nie idź ku staremu cedrowi Libanu, stojącemu na drodze Labirintu; wszyscy tam idą, Belweder zawsze jest pełny.

Obróć się w drugą część ogrodu ze strony w której pawie dają słyszyć swe krzyki ostre, nieprzyjemne. Tu uwielbiając rzadkie i ciekawe rośliny, możesz długo samo-

tnie się przechadzać.... jest to strona miłych rozmów, czułych schadzek; tutaj spotykają się Gryzетка z ulicy Pascal i student z placu Maubert. Poznasz ich z obejścia, ubioru; młodzieniec ma powszechnie nie tęgi surdut, któremu chociaż brakuje guzików, zapina się jednak do góry aby nie pokazać tajemnic koszuli.

Gryzетка nie tyle ma kokieterii ile w Cité; suknia jej skromna, chusteczka dobrze skrzyżowana, fartuszek prosty, a czepek nie wykwintny.

Wszystko to nie stawia przeszkody parze tej miłości sobie mówić, gdy tymczasem pawie przeraźliwie krzyczą.

Nieco dalej widzisz damę bardzo elegancką, opartą na ręku panicza w paliowych rękawiczkach. Para ta z innego jest cyrkułu; natychmiast to spostrzedz można, ale często z bardzo daleka przychodzi się do botanicznego ogrodu.... jest to miejsce schadzek gdzie pochlebiają sobie nie być spotkaniami nie idąc od strony zwierząt.

DAMY NA TARGU.

DAMY w Paryżu chodzą na targ, to stanowi ich zaletę, gdyż dowodzi że zajmują się domem i szczegółami gospodarstwa.

Żony bogatych kapitalistów, handlujących, bankierów, dzierżawców, kupców, artystów wcale się nie obawiają iść same z rana na targ najbliższy swego mieszkania dla skupienia żywności. Niektóre, same idą z wielkim pod ręką koszem; skoro na skupują wszystkiego koszyk jest zbyt ciężki, biorą kommissionera aby go zaniósł za niemi.

Inne biorą służące które naturalnie noszą koszyki. Wtedy wystawiają się na usłyszenie głupstw od przekupek u których nie kupują a które zwykle wymyślają na służę, albo z niej szydzą. I tak np:

— Ah! widzicie jaka wielka pani, prowadzi ją do szkoły!...

— To ty sama na targ przyjść nie możesz małpo?

— Ah! obawiają się aby koszykowego nie wzięła.

— Jak możesz wytrzymać w domu, gdzie Pani przychodzi na targ z tobą?

Massa jeszcze innych grzeczności tego samego rodzaju. Ale damy które chodzą na targ tak są przyzwyczajone słuchać podobne słówka, że wcale uwagi na to nie zwracają. Co do służącej ta rzuca na przekupkę spojrzenie ukradkowe które znaczy:

— «Dalej!... wymyślaj śmiało!... mów ciągle! to sprawi że samą pozwolą mnie na targ przychodzić.»

Damy które często na targ idą, mają swe uprzywilejowane przekupki; co jednak nie przeszkadza innym wołać gdy przechodzą:

— Przyjdź żesz do mnie moje serce!....

— Kupuj odemnie moje pieścidełko.

— Jak to tak dziś przechodzimy dumno?

— Choćże niechże się z tobą umówię.

— Utargój co na początek, pójdzie mi szczęśliwie.

— Ah! niegodziwa odchodzi nic niekupiwszy!

— Jak to nic mi nie powiesz moja śliczna?

Na targu rzadkiem jest aby nie spotkały się znajome damy. Schodzą się, mówią sobie dzień dobry, rozmawiają, szukając albo co potrzeba targując.

— Ah to Pani Benjamin!...

— Dzień dobry Pani Legras, jak się Pani miewa?

— Nie ma potrzeby o to Pani się zapytywać, świeżaś jak ruża!

— Ah! nie patrz na mnie, bardzo cię proszę.... Obawiam się.... starą suknię rano wsadziłam.... od dwóch lat ją mam....

— Ręczę Pani iż zupełnie dobrze wygląda. Potem na targ ktoby chciał ubierać się?

— Jednakże Pani suknia, jest zupełnie piękną!...

— Tak... dość jest dobra.... ale gdybyś wiedziała co mnie kosztuje.... trzydzieści pięć sous, czy to tanio?

— Ah mój Boże, prawie za darmo.... chciał mi Pani dać adres?

— Mój Boże, u Aubertota przy ulicy Poissonniere, tuż przy bulwarze.... zobaczymy łososa czy świeży?

— Jak Pani i ja moja mateczko.... Przy-
łóż nos tylko a powiesz mi nowinę....

— Kupujesz pani ryby? mówi Pani Ben-
jamin do drugiej damy. Ogromnie dziś są
drogie.... a drobiu wcale stargować nie mo-
żna!

— Ależ to okropnie? wszystko taxę prze-
wyższa.... Ja też co dzień mężowi mówię:
Mój kochany więcej dawać musisz na ży-
cie, inaczej nie będę na targ chodzić.

— Ale mężowie są szczególni. Nie ro-
zumieją tego, mówią: «Jak ci się podoba,
więcej jak zwykle nie jadam, niepotrzebu-
ję więcej wydawać.»

— A gdyby im nie dano dobrego obiadu,
wszystkichby niepokoił!

— A więc ten łosoś.... zobaczmy.... ile ko-
sztuje, to dzwono?...

— Sześć franków.... gdyż to dla ciebie
moja koteczko.

— Sześć franków.... To szczególna! zbyt-
ki by to były....

— Ale może Pani co utargujesz toć to
śliczny kawałek.... a potem łosoś zbyt dro-
gi.... rzadki, jak uczciwy człowiek.... Nie
jest to jak pospolita ryba której pełno
w łada kałuży.

— Chcesz trzy franki za to dzwonko?...

— Jak to!... za kogóż mię to Pani bie-

rzesz.... wolałabym nigdy nie sprzedawać.... weź więc za pięć franków, ostatnie słowo.

— Bynajmniej.... Odejdźmy Pani Benjamin.

— Ale zaczekajcie Panie! niedobreście: niech cztery franki będzie i basta.

— Powiedziałam stanowczo, nic nad to nie dodam.

— To niegodziwa! A więc weź Pani; to tylko dla Pani, przynajmniej miło mi że jeść to będziesz!

Dama kładzie kawałek łososa w koszyk i odchodzi z Panią Benjamin mówiąc:

— Gdyby nie umiano się targować! toby one okradały! — Dla tego też sama przychodzę; nie można się spuścić na sługę.... Cóż jej szkodzi drożej zapłacić!... nie ich to kieszeń, a mało jest, któreby weszły w położenie państwa.

— Ah! nie mów Pani o tém!... szkaradne to postępowanie. Zawsze masz jedną?

— Tak, ale ją odprawię, nic robić nie umie!... Pali pieczeń, nie umie gotować, i cały dzień prasuje sobie czepki.

— Moja jest wierna... ale nudna, zuchwała!... Dla tego też sama robię, aby do niej nie mówić.

— Ah mój Boże! aniby takiej służki chwili nie trzymała.

— Dzień dobry moje Panie, mówi prze-

chodząc chuda, długa dama, której twarz przypomina psa z porcelany:

— Kupiłyście Panie wszystko ; zobaczę czy dobry targ.... Gdyż my bardzo trudni jesteśmy, mąż i ja żywiemy się bardzo dobrze, jadamy tylko to co jest najlepsze.

— Przecież to jest gust wszystkich, mówi Pani Benjamin uśmiechając się złośliwie do Pani Legras.

Nowa przybyła, otwiera koszyk i woła:

— Masz Pani ryby.... Ach jak mały kawałek.... nie byłby na dwa kasy dla mego męża.... Kupiłaś Pani gołąbki.... ah jakżesz chude, potrzebuję piękniejszych.... Zkosztuję też Pani masło.... ham!... czyż to najlepsze?... Mąż bardzo jest trudny w wyborze masła.... jadamy bardzo dobrze.

— Ale czyż Pani sądzisz że my złe?...

— Mój Boże, kochana przyjaciółko.... nigdy nie miała zamiaru mówić tego.... Ale wiesz że są trudniejsi i łatwiejsi w wyborze ludzie. Adieu moje Panie pójdę kupować, gdyż obawiam się aby wszystko dobre nie rozprzedano:

— Wygadała się, mówi Pani Legras, gdy wielka kobieta odeszła. Czyż to w Pani nie wzbudza litości?... To zadziwiającem jest jak ona z mężem żyje: będąc raz u nich zastałam jedzących śledzia i śmierdzącą je-

dyczkę.... ona wszystko przejrzy, a w końcu kupi buraków! Na tym się znamy.

Mała kobieta nie młoda ani piękna, ubrana w lekką suknię i kapelusz z kwiatem, spostrzegłszy dwie przyjaciółki woła:

— To Pani Benjamin i Pani Legras!.... Dobry dzień, moje Panie idziecie z targu?... Ja również!... wiele mam osób na obiedzie... Pan Bichonneau niegodziwy jest w tém że zaprasza przyjaciół aby zjadali wszystko co ma... a w rzeczy samój nic im nie winien.... Wreszcie co powiecie na to!... że jest to jego zwyczaj.... zaprosić dziś dziewięć osób.... nas zaś troje z moją Phonphonse to będzie dwanaście.... Szczerściem że nie zaprosił dziesięciu byłoby trzynaście! Nie siadłabym do stołu!... między temi dziewięciu osobami jest tłusty malarz flamandzki który je za czterech, i Pan Lecarlin który okropnie pije.... Ale cóż ja im wszystkim dam mój Boże!... Drogie są ryby?

— Ogromnie.

— Zatem ich nie kupię.... zamiast potrawy z ryb, dam im potrawkę z królików.... A zwierzyna?

— Cztery franki mała kuropatwa!

— Cztery franki!... a przynajmniej mi dwie potrzeba.... Zamiast więc zwierzy-

ny będzie kurcze z cebulą.... A leguminy...
Mały groszek?

— Jeszcze droższy.

— Więc kartofli kupię.... a zamiast chłodników, dam na talerzach jabłka smażone.... Nie będą kontenci, to mi jedno.... Adieu moje Panie, kupię co.... Zobaczem się wieczór?

— Starać się będziemy.

Pani Bichonneau odeszła, a obie damy dalej kupują mówiąc szyderczo:

— Piękny będzie obiad u Pani Bichonneau!

— Wolalabym nigdy gości nie prosić, niż tak ich przyjmować.

— Ah zupełnie tego jestem zdania. Należy rzecz dobrze robić, albo do niej się nie mieszać.

— Ale Pani Bichonneau jest starą kokietą, wszystko na swą tualetę expensująca, za to cały rok karmi męża kartoflami.

— Biedny człowiek! z dobrego jest rodzaju. Gdybym nieszczęśliwym przypadkiem dała dwa dni jedną potrawę mężowi, nicby nie powiedział, ale jadłby obiad w mieście przez resztę tygodnia.

— Ah! że to wszyscy nie są jak Bichonneau....

— Ah, ! ah, ! ah, ! to jest wielkie szczę-

ście, gdyż podług mnie nie ma nic gorszego jak mąż głupi....

— Zupełnie zdanie Pani podzielam. Wolałabym, zdaje mi się, złośliwego mieć męża niż być małżonką głupca!... Wejdę do mej maślarki.

— Ja do mego rzeźnika.... Adieu Pani Legras.

— Do zobaczenia Pani Benjamin. Jeśli mieć będziesz sługę dobrych obyczajów.... aby tylko brzydką, chciej mi ją przysłać.

— Dobrze.

NIEDZIELA

W PARYŻU.

NIGDYBYS nie powiedział że niedziela jest dniem odpoczynku, gdybyś Paryż w dniu tym przejrzał. Miasto to zawsze jest ożywione, wesole, zaludnione; cały tydzień ulice są napełnione pieszemi, pojazdami, kabrioletami, ekwipażami, krzykami stangretów, kupeów, chałasem katrynek, starych kobiet, śpiewaków; ale w niedzielę.... nierównie jest gorzej.

Aby tylko pogoda była, aby słońce zaświeciło, spacerzy zajęte są; na ulicach, bulwarach, w Tuileries, w Pałacu Królewskim,

w Polach Elizejskich, wszędzie massa przechodzących. Jeśli ci pilno, musisz poboczną wziąć drogę, przez ulice wąskie i nieczyste gdzie spacerować nie można, inaczej nigdy nie dojdiesz do zamierzonego punktu.

Często patrząc oknem na przechodzących, ciągle nowych, pytasz sam siebie, gdzie to wszystko może mieszkać, przebywać.

Jednakże niedziela nie jest dniem wybranym, przez piękne towarzystwo na przechadzki.... przeciwnie wysokie towarzystwo zostaje w domu, obawiając się zmieszać w niedzielę na ulicach Paryża z kupcami, magazynierami, urzędnikami, sztukmistrzami, rzemieślnikami i ludem, z tym ludem który wołałby cały tydzień jeść chleb suchy aniżeli w niedzielę odmówić sobie zabawy.

Dla tego też metresy, damy wysokiego tonu, lwy, dandy nie wychodzą z domu w niedzielę, mówią że zły byłby to ton; w zimie zostają w mieszkaniu swym ciepłym, w lecie przesiadują na wsi, nie spotyka się ich w Paryżu.

Jeżeli przypadkiem kto z członków klubu Zokejów, lub kto ze zwykle uczęszczających na balkon teatru opery jest interesami lub schadzką zmuszony, wyjść i pokazać się w niedzielę na ulicach Paryża, najstarszą suknię nieczyszczoną przywdzieje, weźmie

buty niewychędożone, złe, poplamione spodnie, włosów nie wyczesze, kapelusz brudny i bez formy włoży na głowę. W takim *Robert-Macaire* ubraniu, przebiega ulice Paryża, z twarzą szydzącą z uczciwych ludzi, którzy tego dnia wystroili się jak mogli; gdyż i to jest w dobrym tonie aby się jak najbrudniejszym w niedzielę pokazywać.

Ale cóż obchodzi wszystkich chcących się bawić w niedzielę, spacerować, odświeżać, że ten jegomość w tym dniu brudnym brzydkim się pokazuje!... Niech każdy podług swego gustu, wyobrażeń postępuje, czynmy to co nam się podoba, nietroszcząc się co robią drudzy. Prawidło to jest dobre i dość go się w Paryżu trzymają.

Niedziela jeszcze wielką liczbę mieszkańców wielkiego miasta czyni szczęśliwemi.

Wtedy urzędnik, szanowny podwładny biura, mający dzień tylko ten w tygodniu wolny od pracy może od rana do wieczora czynić co zechce.... jeśli zaś ma żonę nie jest pewnym czy będzie Panem choć i w niedzielę. Ale nie ma obowiązku iść do biura, może późno wstać, wyciągać się na łóżku, może pozwolić sobie leżyc w szlafroku i pantoflach i chodzić dzień cały, może siedzieć, oblewać kwiaty i patrzeć na sąsiadów; wreszcie może sobie powiedzieć:

— «Cóż mam dziś robić? czem się zaba-
wić? w którą stronę kroki skierować?»

Często przepędza dzień badaniem co ma
robić; dzień upływa; tylko robił projekta,
zamki na lodzie stawiał; ale w podwójnym
tym marzeniu był szczęśliwy, a we wszy-
stkich życia położeniach jest to główną
rzeczą:

Czyż nie powiedział Rousseau: *trzeba być
szczęśliwym!... to jest pierwszą potrzebą
człowieka!*

Wreszcie gdy urzędnik namyślił się jak
ma przepędzić niedzielę, widzisz go staran-
nie się ubierającego, nawet z kokieteryą,
stoi przed lustrem jakiś czas wiążąc sobie
chustkę i obraca się do żony mówiąc:

— Czy tak mi dobrze?

Żona którą ta kokieterya niepokoi odpo-
wiada opierchliwie:

— Zawsze ci dosyć dobrze!

Urzędnik niezbyt przekonany czy to praw-
da, powtórnie się przegląda. Skoro się u-
brał, staje przed żoną mówiąc:

— Czyś gotowa?

Ale rzadko Pani równo z Panem gotowa,
czasem wyjść nie chce, spogląda oknem i
mówi:

— Zdaje mi się że deszcz padać będzie.

Urzędnik zupełnie zdecydowany, niedzie-

li w domu nie przepędzić bierze parasol pod pachę wołając:

— Teraz niech deszcz pada, wiatr wieje, niech grzmi i pioruny wałają!.... to mnie nie obchodzi. No, chcesz wyjść? raz, dwa....

— Obiad jeść mamy u stryja, to daleko; wprzódę męczyć się nie chcę.

— Jak ci się podoba, idę na spacer.

Wychodzi śmiało z parasolem w rękę mówiąc: «gdybym żony słuchał, wszystkie niedziele przepędziłbym na krajaniu jej festonów lub uczeniu śpiewać kanarka; dziękuję!... dosyć tego. Na siedm jeden dzień tylko jest do zabawy, nie chcę go kanarkowi mój żony poświęcić.»

Nasz urzędnik bieży ulicą obracając się, patrząc na domy, wyspiewując kawałki z Wodewilu, a często mówiąc:

— Obiad jemy u stryja!... to nic wielkiego!.... We wszystkie niedziele jadać u stryja który ma podagrę; ze starą kuzynką głuchą, potem grać w bostona od siódmej do dziesiątej.... nie nawidzę bostona... wolę ranki niż wieczory niedzielne.

W czasie tej rozmowy jegomość nasz po półgodzinnym spacerze staje, zgadnijcie gdzie? przededrzwiami biura swego, dokąd szedł niepostrzegłszy się, tak wielką jest moc przyzwyczajenia.

Zatrzymuje się wtedy, poznaje gdzie jest, śmieje się mówiąc:

— To dopiero głupstwo!.. przyjsć w niedziele do biura!... oto są skutki zamyślenia.

Ucieka urzędnik z miejsca które codziennie odwiedzać musi. Niewie gdzie iść miał, ale wie że nie tu. Przebiega Paryż jak cudzoziemiec, niekiedy od rogatek Etoile de Bercey; wreszcie zrobiwszy przynajmniej cztery mile, wraca do siebie zmęczony i mówi do żony:

— Przeszedłem się!.. mogę powiedzieć że chodziłem... nogi mi w brzuch wkleśły.... ale przynajmniej przespacerowałem się... byłem w czterech rogach Paryża.

— Co za głupstwo tak się męczyć, mówi Pani.

— Cóż ci szkodzi jeśli mi to przyjemność robi!... w Niedzielę tylko spacerować mogę.. chce ją użyć.

— Idźmy do stryja...

— Prawda to nie najzabawniejsze?

Nazajutrz urzędnik ma ból krzyża, ale to nie przeszkadza mu, być zadowolonym z przepędzenia niedzieli.

Kupcy, którzy wreszcie decydują się w niedzielę zamknąć sklepy, czasem o drugiej po południu dopiero, uwielbiają powszechnie spacerować w Tuileries.

Pani ma szal kaszmirowy Francuzki, kulczyki brylantowe, pióra na kapeluszu; gdyby śmiała wsadziłaby jeszcze kwiaty, wstążki, koronki, zasłonę, marabou. Suknię ma z drogiej materyi, której nie żałowała.

Jegomość ma frak nowy, spodnie nowe, kapelusz nowy, twarz tylko nie jest świeżą, ale uradowany gdy patrzy na swą połowicę, zdaje się jej mówić:

«Możesz być pewną że nie spotkamy lepiej od ciebie ubraniej kobiety.»

Mały chłopiec majtki ma nowe, w których bardzo mu niedogodnie, ale krawiec powiedział że doskonale wyglądają, a lepiej słuchać krawca.... dla tego też chłopiec krzysi się, idąc ciągle myśli o swoich spodniach.

Rodzina ta idzie do Tuileries, poważnie chodzi patrząc na siebie i pokazując twarz wyrażającą:

«Dawajcieżesz bacność na naszą toaletę.»

Przybywszy do wielkiego ogrodu do którego w niedziele massy się zbierają, jedni aby się pokazywać, inni aby patrzeć; rodzina po długim przechadzaniu się z wielkim nieukontentowaniem małego chłopca; który bardzo jest zmęczony, postanawia usiąść wreszcie w wielkiej alei.

Siedzi czasem przeszło dwie godzin, a w ciągu tego mąż z żoną zaledwie pięć lub

sześć słów przemówią. Małemu chłopcu kupiono pierniczek, ale jeść go zabroniono.

Godzina obiadowa nadeszła, wstaje rodzina i odchodzi poważnie, zadowolona przepędzeniem blisko trzech godzin w Tuileries na przezieraniu przechodzących, połykaniu kużu w cieniu, który wcale nie jest świeży.

Rzemieślnicy inaczej się bawią; aby wypocząć po codziennych pracach, stolarz, złotnik, tokarz, wreszcie każdy od siódmej rano do ósmej wieczór pracujący, każą sobie w niedzielę odświeżyć stancyą, pomalować sufit, lub poprawić podłogę.

Robotnicy inaczej czas przepędzają. Jest wielu w Paryżu którzy pracują większą część niedzieli, ale którzy za nic w świecie pół godziny nawet w poniedziałek pracowaćby nie zechcieli. Poniedziałek jest świętem, odpoczynkiem dla wszystkich robotników w Paryżu. Jednakże obchodząc poniedziałek, mało jest takich którzyby i niedzieli nie obchodzili.

W szynkowniach to, przy rogatkach będących, rzemieślnik niedzielę przepędza, jeżeli użyć nie miał chęci świeżego powietrza na wsi, zjeść królika w Belleville, albo kawałka cielęciny w Vaugirard.

Robotnik, dobry gospodarz nie mający złych towarzystw, zabiera z sobą żonę i

dzieci... jeśli je ma; ale rzemieślnicy zwykle mają dzieci. Cała rodzina używa niedziele o ile może; często mała chusteczka lub nowy fartuszek jest całą ozdobą niedzielnej odzieży żony; mąż ma białą bieliznę i w ten dzień chustkę na szyi; dzieci mają pończochy i trzewiki, co codzień nie ma miejsca. Wszyscy są szczęśliwi, radość maluje się na twarzach; mąż śpiewa, żona tańczy, dzieci z tyłu i z przodu biegają. Idą bawić się, używać niedzieli, i jeść obiad za miastem.

Czasem ożywiona winem, tańcem, obrazami wesołemi, rodzina rzemieślnika traci w niedzielę to, co by ją cały tydzień wyżywić mogło; wtedy największym ich zmartwieniem jest że nie mają za co poniedziałkować. Ale naczelnik rodziny, wszystko poświęci, niczego nie żałuje byle wesoło poniedziałek spędzić. Zastawiają niektóre rzeczy aby w poniedziałek iść znowu zamiast. Resztę tygodnia jak będą mogli, przepędzą.... choćby o suchym chlebie; aby w niedzielę i poniedziałek zabawili się, to rzecz główna.

A Gryzетка o której nic nie mówiliśmy!... jeśli cały tydzień myśli o kochanku, niedziele z nim razem przepędza. Młodzieniec który w niedzielę zapomina o swjej metresie, wiele ryzykuje aby ją w poniedziałek wolną nie zastał. W ten dzień pan-

ny te koniecznie chcą się bawić, a tyle jest sposobności, środków! Paryż jest miejscem zabaw, widowisk, restauratorów, spacerów, a mianowicie młodzieży która w niedziele szuka sposobności szczęśliwej.

Największą przyjemnością jaką zrobić możesz w niedziele swęj znajomej jest przejść się z nią, gdyż ona chce być piękną aby być widzianą; potem zaprowadzić ją do traktyerni na obiad, wreszcie zakończyć dzień idąc z nią na teatr. To dopiero zupełna będzie niedziela.

Że jednak w ten dzień wielu jada w traktyerniach, złe więc dają obiady i zła jest usługa, widowiska, pewni znacznej ilości widzów nie najpiękniejsze wybierają i jest trudno bardzo dobre znaleźć miejsce.

Ale idą tam gdyż.... to niedziela.

Chcą się bawić gdyż.... niedziela! Mnóstwo jest jeszcze przedmiotów które myślą że czynić trzeba gdyż niedziela.

KUPCY WŁOSÓW.

OBECNIE, ponieważ z wszystkiego handel w Paryżu robią, nie ma już ani perukarzy ani fryzyerów, ale są kupcy włosów; handlują perukami, lokami, ubiorami, fryzowaniem; sprzedają ci włosy, nawet gdy masz dobre, lub twoje kupują.

Bardzo dobrze włosy sprzedają w Paryżu, gdyż bardzo mało osób mając piękne, starają się sztuką nagrodzić to czego im odmówiła natura.

Wy którzy macie małe dziewczęta od pięciu do ośmiu lat, których włosy są długie,

pięknego koloru, nie idźcie tam z niemi gdzie wiele jest ludzi, albo dajcie baczenie na ich głowy: gdyż zdarza się często, że zaprowadziwszy na spacer małą dziewczynkę, dobrze uczesaną, której warkocze nisko spadające zwracają uwielbienie przechodzących, wracasz z cureczką à la Titus włosy tuż przy głowie ostrzyżone mającą.

Zręczny filut uwielbiał piękne warkocze błąd albo czarne twój córeczki, a za pośrednictwem kilkorazowego cięcia nożyczkami z niezmierną zręcznością i lekkością wykonanego, odjął warkocze nie ściągnawszy ani dziecka ani twojej uwagi.

Ale powróćmy do kupców włosów.

Doskonały to musi być stan fryzyerów w Paryżu; gdyż nigdy mieć ich nie można: są proszeni zatrzymywani, obiecują być w dwódziestu na raz miejscach; wyrrywają ich sobie, nie masz domu gdzieby fryzyer nie był upragniony, a ten który ma wzięcie jest artystą, prawdziwym artystą którego talent płaci się na wagę złota i który nie raczy wszystkich fryzować.

Są fryzyery arystokraci którzy nie poniżą grzebienia swego na głowie małej obywatelki lub mieszczanki. Napróżnoby im mówiono:

— Zapłacę ci co zechcesz.

Artysta włosów który fryzuje xiężniczki, markizy, hrabiny, śmieje się z pogardą mówiąc:

— Nie fryzuję tego rodzaju ludzi!... kto ma co dzień w swych rękach głowy najszlachetniejsze Paryża, nie może tak się upadlać.... Za milion franków nie rozpalibym dla nich mojego żelaza.

Następnie mamy fryzyerów dramatycznych, którzy tylko aktorów fryzują: wieczorem są w dwóch lub trzech teatrach zajęci; znają wszystkie nowiny, intrygi kulisowe; znają kochanka panny B.... i protektora panny G.... wiedzą dla czego piękna tancerka opery nie chciała grać w ostatnim balecie, i kto dał matce jój rękawek. Fryzyer dramatyczny ma zawsze kilka anegdot do opowiadania; bardzo jest zabawnym dla osób którym się nie śpieszy, jeśli z nim wejdziesz w rozmawę, będzie czasem dwie godziny cię fryzował.

Nie raz mówi w najlepszej wierze:

— Bezemnie ostatnia opera upadłaby zupełnie, byłaby wygwizdana.

— Jak to?

— Ale bo, pierwszy akt, nie bardzo dobrze był przyjęty, drugi dość źle się zaczął, w tém weszła młoda pierwsza śpiewaczka, przezemnie fryzowana... Ah! jak tylko weszła powstał grzmot oklasków... tak dobrze była

ufryzowaną!... teatr był naelektryzowany; zapomniano prawdopodobieństwa sztuki a-
by uwielbiać fryzurę pięknej śpiewaczki....
odtąd publiczność była w zachwyceniu.
Jakżesz Pan chcesz aby gwizdano skoro wi-
dzą włosy tak doskonale uczesane!.... dzie-
ło nabrało zaraz wartości, sądzę że mogę
przypisać sobie większą część powodzenia.

W Paryżu kupcy włosów mają bardzo
eleganckie sklepy. Obecnie stawiają w nich
popiersia woskowe pięknych kobiet w ne-
gliżach dając widzieć prócz ich fryzury, wie-
le innych rzeczy, przed którymi amatorowie
stają w zachwyceniu. Sprężyna, ciągle po-
piersia te obraca i tę ma korzyść, że mo-
żesz widzieć je z każdej strony; a przy-
tym przypatrzeć się fryzurze z przodu i
z tyłu.

Ale sklep jest tylko kolumnadą świątyni;
idź na pierwsze piętro, a znajdziesz salony
zbytkownie z gustem umeblowane; ze wszy-
stkich stron ogromne lustra pozwalają ci
się widzieć i uwielbiać, jeśli to przyjemność
ci robi. Dalej w około pokoju sofę, kana-
py, na stole gazety, broszury, karykatury,
romanse, a nawet nuty. Salon kupca włosów
jest tyle prawie wspaniały co salon denty-
sty ale nierównie weselszy.

Idziesz do fryzjera z jednym z przyja-
ciół który chce się trefić gdyż do miasta

idzie na obiad. Ponieważ bardzo mało masz włosów nie myślisz naśladować przyjaciela, siadasz na kanapie, czytasz gazety. W tém przybliża się fryzyer i z niewypowiedzianym wdziękiem ci mówi:

— Czy Pan nie każe się fryzować?

— Jakżesz chcesz abym dał się fryzować?... nie mam włosów.

— O za pozwoleniem, Pan je masz!

— Tak czternaście, czy około piętnastu.

— Ręczę Panu że masz ich więcej jakbyś sądził.... Zresztą mamy sposób układania ich; ręczę Panu żebym doskonale ufryzował. Jeśli Pan pozwolisz, nie będziesz się gniewał; ufryzuję podług ostatniej mody.

Ciekawys, jak się weźmie do twych włosów, skoro prawie łysym jesteś, dajesz głowę swą w ręce artysty który na niej cuda ma robić.

Fryzyer sadowi cię w doskonały fotel, bierze bardzo biały grzebień, potem pracuje nad twą głową; fryzuje; powiedzianoby że myśli wydobyć ci włosy. Ośm pukłów robi na lewym, sześć na prawym uchu; po-maduje, fryzuje, zawija, wszystko to przypieka żelazem. Wreszcie cud ukończony.... Jesteś ufryzowany.

Bieżysz do lustra; ciekawy się ujrzeć.... Spostrzegasz na głowie zawinięte przezroczyste włosy; znajdujesz się strasznym;

lepiej ci było nimeś się ufryzował, ale artysta woła ci do uszów:

— Sądzę żeś Pan zadowolony i przychodzić będziesz często.

Są jeszcze w Paryżu fryzyery głęboko zamiłowani w swęj sztuce, którzy ją za pierwszy stan uważają; artyści ci są przekonani że wszystko odnosi się do włosów....

Skoro przed nim mówisz o Napoleonie, zawoła:

— Ah! gdyby nie był skasował harcabów, panowałby jeszcze.

— Jeśli uskarżasz się na stagnacyą handlu, powie:

— Jakżesz Pan chcesz aby szło dobrze?... trzy czwarte ludności się nie fryzuje!

Jeśli się uskarżasz na niski kurs papierów, mruczy:

— Papiery niezawodnie pójdą w górę.... pełno wychodzi pomad nie wiedzą już co robić.... Nie wiedzą już gdzie pieniądze umieścić, kupują!

Wreszcie jeżeli się skarżysz na niewierność metresy, fryzyer zawoła!

— Oh! Paniel... jakżesz chcesz żeby kobiety wiernemi były.... Nie noszą pudru, włosy mają gładkie, fryzury ich znoszą natarczywe szturmy bez żadnego znaku.

Fryzyerzy w Paryżu uważają się więc niezbędnymi; większa część metres toż zdanie podziela. Damy wiele zważają aby były jak i ich mężowie dobrze ufryzowanymi....

MAGAZYNY NOWOSCI.

W PARYŻU mają one przepych, rozległość i pozór, zdające się poniżać wszelki inny przemysł.

Dawniej były sklepy mieszczące nowości; następnie nastały magazyny; dziś w Paryżu magazyny te stały się ogromnemi bazarami; wszedłszy w nie wewnątrz zdajesz się chodzić w jakim mieście.

Na dole, salony ozdobione zbyt kownie, z elegancją, kantory w nowym guście, wszędzie lustra, ściany malowane, lakierowane i dywany rozesłane na drodze którą masz

przechodzić. Zdaje ci się że się mylisz, wyobrażasz sobie że wstępujesz do galeryi wVersaillu, nie śmiałybyś drugi raz tu wstąpić, aby kupić flaneli na kawtanik lub kamizelkę, gdybyś nie spotykał wielu kommissantów, kupczyków idących, wracających, składających, rozkładających, mierzących, materye, szale, suknie, i inne drobiazgi; przerzucających, chwalaących i kupujących to wszystko.

Jeśliś zdecydował się wejść do jednego z tych wielkich magazynów które gardzą zegarami i tém wszystkim co zewnętrz daje się widzieć zostawiając szarlatanizm wystawy sklepom drugiego rzędu, jegomość w czarnym ubraniu, wykwintny i grzeczny zbliża się pytając się czego żądasz.

— Suknię muslinową.

Natychmiast piękny ten jegomość kłania ci się, daje znak byś szedł za nim, sam idąc przed tobą. Przebywacie wiele sal: są tam oddziały towarów wełnianych, jedwabnych, materyj różnych, merynosów, szalów francuzkich, kaszemirów, i t. d. i t. d. Powiedziałem też że jest to miasto do przejścia. W końcu przychodzisz do oddziału muslinów.

Przewodnik twój powtórnie ci się kłania i odchodzi, wtedy zostajesz z młodzieżą bardzo elegancką, bardzo dobrego obejścia, wyrażającą wyszukanie i przypomina-

jącą uczęszczających do teatru rozmaitości i na operę:

Pokazują ci żądane towary z wdziękiem, grzecznością która cię zachwyca, często znajdują sposób wystawiając gatunek towaru lub piękność jego, wsunąć pochlebne słowo osobie która kupuje.

Odurzona przepychem, bogactwem magazynów, podbita pokazanym przedmiotem, zachwycona grzecznością, galanterią subiektów, pozwolisz się uwieśdź, zaślepić.... Miałas zamiar za dwieście tylko franków kupić towaru a za tysiąc kupujesz! wołasz:

— Mój Boże! ale nie dość pieniędzy mieć będę przy sobie!

Natychmiast ci odpowiadają:

— To nic Pani nie szkodzi!... niech to Panią nie wstrzymuje.... wybieraj Pani co się podoba.... Zabierzesz lub do jej mieszkania odeszlemy; jak Pani zechcesz?

Jakże oprzeć się tak delikatnemu obejściu, tak wielkiemu zaufaniu i grzeczności: kupujesz, dajesz swój adres, obiecują ci zanieść wszystkie towary do mieszkania.... Wreszcie oddalasz się; kupczyki czynią ci honory, odprowadzają cię do drzwi swego oddziału; chcą cię do końca odprowadzić, ale dziękujesz; przekonana że nie zbłądzisz. Jednakże czasem krzyżujesz się,

blądzisz po kaszmirach, wpadasz na batysty, ale są tam kupczyki miejscowi, grzecznie podają ci rękę w podobnych wypadkach i aż do drzwi magazynu odprowadzą.

Wypada jednak powiedzieć że wielkie te magazyny nowości na stopę królewską trzymane, są odwiedzane tylko przez możnych, metresy, aktorki na utrzymywaniu, a przynajmniej te które wiele wydatków czynią, wreszcie przez arystokracją handlu, która to tylko nosić może co ztąd pochodzi, która to tylko pięknem co ztąd pochodzi znajduje.

Magazyny nowości z wystawą na zewnątrz są weselsze, mniej ceremonialne, jednak wszystko prawie mają, prócz wielkich salonów, antrsolów albo pierwszego piętra.

Gryzетка, mieszczańka, często nawet wieśniaczka, nie obawiają się tu awanturować; spotykać tu możesz z każdej klasy trochę ludzi, przypatrzeć się różnym i uderzającym widowiskom.

Przy drzwiach koło wystawy, patrz na te tłumy zatrzymujących się kobiet, prawie zawsze kobiet pięknych, brzydkich, młodych, starych, dla których ubiór tak wielkim jest szczęściem! Patrz jak wszystkie twarze rozweselają się uwielbiając szal sztucznie rozwinięty, suknie w kawałkach, mi-

sternie, jedne na drugich złożone; — posłuchaj co tam mówią:

— Ta niebieska suknia jest piękna!...

— Wolałabym różową.... różowa tak mi do twarzy.

— Ah! przyznasz Adelajdo! gdybym miała chustkę jak ta, na twoje z Franciszkiem wesele.... jak byłabym piękną!...

— Ah! co za rokoszny szal!...

— Prawda szlaki cudowne!

— To jest kaszemir francuzki.... oddawna zbieram się na coś podobnego....

Dama ta wzdycha. Wiele dam jest które wzdychają przed magazynami nowości, a Bóg wie co im wtedy po głowie przechodzi. Wystawy te tak są ładujące i tak kuszące!... cnota na twardą jest wystawiona próbę. Mężowie są tak oszczędni, skąpi, nawet chciwi! A potem napotykamy w świecie monstra ludzkie, które zalecając się, pozwalają sobie dać ci to wszystko co wielbisz, co tém jest zdradliwsze że wiedzą dobrze iż tego pragniesz, a mąż odmawia.

Wejźdźmy do magazynu: widzisz starą damę majętną, kupującą suknię wełnianną na dwadzieścia dziewięć sous łokieć, z obawy by jej nie oszukano przyprowadziła z sobą swą szwaczkę, siostrę i siostrzenicę. Trzydzieści każe sobie pokazać sukien za

nim jedną kupi; nie ma nic trudniejszego jak tualeta dla kobiet niemłodych, które nigdy pięknymi nie były.

Widzisz małą zgrabną kobietę z młodym mężczyzną; to są nowożeńcy; nie chcą jedno bez drugiego kupować. Mąż potrzebuje kamizelki, żona sukni. Pokazują mężowi kamizelki, który żonie mówi:

— Powiedz która ze wszystkich najlepiej ci się podoba?

— Ale mój mężulku wybieraj sam; przecież to dla ciebie.

— Ah! to mniejsza, chcę aby w twoim była guście.... wszystko lubię co ci się podoba.

— Mój mężu patrz na te wszystkie suknie która ci się najlepiej spodoba, którą mi radzisz?

— Ja nie znam się na tem.

— Ba, ba, chcę abys ty wybrał.... tę wezmę którą uznasz za najpiękniejszą.

Po długich rozbiorach mąż wybiera żonie suknię; żona mężowi kamizelkę. Żona pragnęłaby suknię zieloną, mąż jęj ciemną wybrał; mąż byłby wybrał kamizelkę w pasy, żona mu wybrała w bukiety. Przygryzają sobie wargi oboje i niechętni sklep opuszczają.

Widzisz dużą kobietę głośno mówiącą, kręcącą się bardzo, musi to być szwaczka,

do każdego kupczyka się obraca; w rękę ma kawałek materji którą chce dobrać; każe dwadzieścia sztuk różnych pokazać, woła:

— To.... ah.... nie.... nie.... to nie to.... to jest ciemniejsze.

Po trzy kwandransowém wystawieniu na próbę cierpliwości kupczyków, gdy dama wynalazła co szukała, każe sobie odmierzyć.... dwadzieścia centymetrów (ćwierć łokcia)!

Widzisz dwie Gryzetki chcące merynosu na dwa spancerki; koloru dobrać nie mogą. Kupczyk wylicza kupiecki katalog! aby wzięto materje której jest najwięcej.

— Weź to Panna, będziesz zadowolona, to bardzo korzystne, dziękować mi będziesz kolor ten zawsze w modzie.

Dalej młoda robotnica przegląda szal bardzo prosty, skromny, z którego chce prezent matce zrobić; przez rok odkładała codziennie z pracy swój zarobek; nie wielką zebrała sumnę, ale matka mieć będzie na imieniny szal, którego bardzo potrzebuje.

W tém tłusty męszczyzna wchodzi do magazynu z damą bardzo przyzwoitego obejścia na rękę jego opartą. Z twarzy nie dość przyjemny jegomości tego, ze zmarszczenia się, natychmiast poznać możesz że to jest mąż, który ma kupić sprawunki żonie.

Patrz: idą do kantoru; mąż opuszcza żonę siada na krzesło, mówiąc:

— Wybieraj co ci potrzeba.... ponieważ zawsze ci czegoś potrzeba. Ah Boże! cóż to za zniszczenie te żony.... kawalerowie są szczęśliwsi!... niepotrzebują waszych strojów płacić.

— Tak, radzę ci się skarżyć! wiele wydajesz na mą toaletę....

— Zdaje mi się że dosyć....

— Oto suknia którą od trzech lat noszę.

— A gdyby i dziesięć skoro dobrze wygląda, czyż ją trzeba wyrzucić.... Ale kończmy.

Dama każe pokazać sobie tkaniny. Znalazła coś pięknego, pokazuje mężowi, który pyta o cenę, potem kręci głową mruczając:

— To za drogie.... Powiedziałem ci co wydać mogę.... nad to nic nie postąpię.

— Ale mężu pomyśl-żesz że to jest suknia której do ubioru potrzebuję.... jest to materya mocna....

— Kochana żono.... wszystkiego tego nie rozumiem! oszczędność! wybierz tańszą suknię.

Żona wszystko co może robi aby męża ująć; mąż się ogranicza na słowach: porządku i oszczędności.

W tém dama piękna, elegancka, postaci wolnej, dość uperfumowana, wchodzi do

magazynu; każe sobie najnowsze materye pokazać, najmodniejsze, potem przeglądając towary przyniesione, rzuca okiem na dużego mężczyznę, ten tak samo jęj odpowiada: jest porozumienie między temi dwiema osobami a gdy małżonka przegląda materyą zawieszoną przy drzwiach, dama przybyła przybliża się do męża i zupełnie cicho doń mówi:

— Również chustek potrzebuję.... Szkockiego batystu.... aksamitu na szal, i krepy na suknię.... fularów....

Gruby jegomość również cicho jęj odpowiada:

— Bierz wszystko czego ci potrzeba.... wszystko co zechcesz.... nie rób sobie subiekcyi.... pošlesz faktury do biura mego.

Potem jegomość przybrawszy minę zimną powraca do żony zobaczyć co kupuje, gdy tymczasem nieco dalej metresa jego każe krajać materye najrzadsze, najdroższe, zadowolnia wszystkie swe fantazy, i mówi śmiejąc się do ucha kupcykowi:

— Ten gruby jegomość zapłaci.

Kupczyk patrząc z boku na jegomości wskazanego, odpowiada półgłosem:

— Ale zdaje mi się, że nie ten sam płacił Pani faktury przed trzema tygodniami.... gdyś przyszła kupować suknie balowe i materye?

— Temu trzy tygodnie?... Być może!... Czyż Pan sądzisz żem się poddała jarzmu na wieki z grubym tym bawołem!... Ah! toby coś było bardzo dziwnego. Od trzech tygodni jestem dla niego łaskawą; ale zostać mu wierną! ha! to dopiero!... byłoby też komu młodość poświęcać....

Kobieta utrzymywana, uradowana że fantazye swe zaspokoila, wychodzi bardzo czule robiąc oczy.... do kommissanta w magazynie: duży jegomość odchodzi zadowolony, gdyż skłonił żonę aby wzięła po łokciu mniej na każdą z sukni, mówiąc że zawsze nosi za szerokie.

Jakie bądź jest zadowolenie wszystkich tych gości, niewyrówna ono szczęściu młodej robotnicy, przychodzącej z owocem swój oszczędności kupić skromny szal matce.

BRODY I WĄSY.

PONIEWAŻ wróciła moda noszenia bród we Francyi, a mianowicie w Paryżu, mówmy o brodach.

Ponieważ większa część młodzieży, ludzi skończonych, a nawet podeszłych, noszą wąsy, nie będąc wojskowemi, mówmy o wąsach.

Dawniej Francuzi zapuszczali brody, jeżeli byli w znaczeniu lub godności.

Dotykano brody czyjś, gdy miano go adoptować; brano za wąsy, lub brodę tego, któremu dawano protekcją.

Jeśli wiarę można dać Saint-Foix, tylko xiażętom krwi królewskiej pozwalano zapuszczać zupełnie brody i nosić je tak długie jak mogły rosnać.

Robert, dziadek Hugona Capet, którego Karol prosty, zabił własną ręką; przewlókł w początku bitwy wielką swą siwą brodę przez wierzch kasku, aby dać się swoim poznać; co dowodzi że długie noszono brody, pod drugą dynastją.

Przy końcu XI wieku biskupi wydali wojnę długo-włosym. Później Ludwik VII chcąc dać noszącym długie włosy, przykład podległości biskupów, skrócił sobie włosy i ogolił brodę. Ale *Leonora Aquitańska*, małżonka jego, xieżniczka, która zapewne chciała, by się mąż pokazywał mężnym, żartowała z Ludwika VII że ogolił brodę i włosy.

Wyływało ztąd że Leonora Aquitańska z przyjemnością patrzyła na galanterję xięcia Antiocha który niewątpliwie piękną miał brodę. Ludwik VII żałował, że do Syryi żonę zaprowadził; powinien był raczej żałować że ogolił brodę. Tak mała rzecz z pozoru była jednak przyczyną zerwania małżeństwa. Leonora Aquitańska zaślubiła wkrótce potem Henryka xięcia Normandyi, hrabiego d'Anjou, później króla angielskiego któremu wniosła w posagu Poitou i Guyenne. «Ztąd to (mówi Saint-Foix) poszły woj-

«ny, przez trzy wieki Francją niszczące, «zginęło przeszło trzy miliony Francuzów, «gdyż król obciął swe włosy i brodę ogolił, i ponieważ żona jego znalazła go dziwnym z włosami krótkimi i brodą ogoloną.»

Pod Franciszkiem I. brody powróciły w użycie. Monarcha ten, będąc cięty w głowę, musiał kazać ogolić włosy; obawiając się zaś podobieństwa do mnicha, nosił kapełusz w miejsce biretu i brodę zapuścił.

Pod Henrykiem II, Franciszkiem II, Karolem IX i Henrykiem III długa broda była w modzie.

Pod Henrykiem VI (mówi Saint-Foix) skrócono brody, noszono je w kształcie wachlarza z dwoma wąsami długimi i prostymi na wzór kocich. Później zatrzymano tylko wąsy wraz z peruką. Marszałek Basompierre powiedział, że całą zmianą którą znalazł w świecie po dwunasto-letnim więzieniu, było zaprzestanie noszenia bród i długich włosów.

Pod Ludwikiem XIV wąsy powróciły w modę.

Gdy noszono podbródki dawano im formę pomadą pachnącą. Układano brodę wieczór, aby zaś przez noc się nie zepsuła, zamykano ją w pewny rodzaj woreczka umyślnie zrobionego, nazywanego *bigotelle*.

Diś tak robią niektórzy z swemi brodami, wąsami, nawet z faworytami.

Pod Ludwikiem XV i XVI brody zaniechano. Pod rzeczpospolitą i cesarstwem tylko wojskowi nosili wąsy. W epoce téj znalezionoby bardzo dziwném widzieć u człowieka do armii nienależącego wąsy, nawet między wojskowemi nie była to ogólna moda. Większa część generałów którzy zwyciężali pod Lodi, Arcole, Castiglione, Austerlitz, Wagram, i t. d. it. d. wąsów nie mieli.

W czasie restauracyi zaczęto dostrzegać wąsy między mieszczanami składającemi gwardyą narodową; od rewolucyi Lipcowej (1830 r.) datuje się powrócenie noszenia brody.

Wąs i bródka hiszpańska bardzo pięknie leży na kawalerze ubranym jak za czasów Ludwika XIII; broda jeszcze piękneby miała miejsca przy głowie okrytej turbanem albo kapeluszem z piórami naprzód spadającymi.

Ale nieszczęśliwe nasze okrągłe kapelusze, czapeczki z małym daszkiem, na twarzy przedłużonej wąsem i brodą wcale nie dobrze leżą! Noście Panowie turbany, duże kapelusze, skoro chcecie brody i wąsy zapuszczać.

— Ale w Paryżu wątpiemy aby moda

bród i wąsów długo panowała. Moda ta wymaga staranności nadzwyczajnej i ścisłej czystości. Zwykle napotyka się ludzi z długimi brodami dość zaniedbanego ubioru, co wywiera mimowolną odrazę; nie chcielibyśmy siedzieć naprzeciw jegomości, który przypomina mnicha zachowującego w brodzie coś seraficznego.

Niezawodnie bardzo jest słuszném aby każdy miał wolność ubierania swęj głowy podług upodobania; jeśli młody rzemieślnik sądzi łatwiejszém podbić swą ulubionę, nosząc brodę saperską i długie włosy, wszelkie ma prawo pokazać się tak przed swą kwiaciarką lub magazynierką; obecnie aby podobać się tym Pannom, trzeba aby mężczyzna miał jakieś z niedźwiedziem podobieństwo.

— Saint-Foix słuszenie jeszcze powiedział:

«Z zadziwieniem a często z litością patrzymy, na wszystkie kłótnie, książki, dekreta naszych ojców, tysiące dziwnych nadużyć w noszeniu włosów sztucznych, bród golonych lub hiszpanek; śmieszność dysput tych usposabia czytelnika do pobłażania, téj cnoty doskonałej i niezbędnej w każdym razie gdy nie ma pytania o głównym warunku, to jest powszechnęj pomyślności.»

Pozwalamy sobie jedną tylko zrobić uwagę :

Nie jesteśmy Francuzami z czasów Kłowiusza, ani Henryka III, a trzeba nam winnować, że obyczaje nasze na tém zyskały: nie straciliśmy w odwadze, a nie używamy broni okrótnej; złączyliśmy elegancją z odwagą, grubość obyczajów zastąpiliśmy wdziękami grzeczności; dla czegoż powracać do mód które nas poniżają? Co jest zabawne, to że ciż sami ludzie którzy dążą do rozszerzenia światła, noszą kapucyńskie brody.

Broda niezgadza się ani z obyczajami, ani z ubiorem ani z obejściem Francuzów; niezawodnie upadnie jak gust do fajek i sygar...

MIEJSCA POCIESZENIA.

W PARYŻU nadano to nazwisko handlom wódek i likierów, gdzie nawet za jedno sou rzemieślnik, robotnik, pijak, włuczega, i każde indywiduum które niemając często najmniejszego zmartwienia, czują potrzebę wejścia do *miejsca pocieszenia* gdzie wódki lub likieru napić się może.

Zakłady te mianowicie są licznemi w zaludnionych cyrkułach, na przedmieściach, przy placach, targach i rogatkach. *Miejsce pocieszenia* Pawła Niquet, naprzeciw targu jest najślawniejszém w Paryżu. U sprzedających likiery, sklep nie mieści wcale pró-

żnych ozdób, ale jest ze wszech stron ubrany, od dołu do wierzchu beczkami, baryłkami, oxeftami, flaszkami, i butelkami obejmującemi likiery różnych gatunków i tęgości.

Stół na którym stoją szklanki i kieliszki każdego wymiaru, miarki, lampka ciągle się paląca na usługi palacza, i kilka bułek, dla tych którzy chcą skórki dobijając *pocieszenie*, o to wszystko co znajdziesz w tych sklepach, które często tak jak ulica są zablocone, gdyż uczęszczający nie mają zwyczaju ocierać nóg, a wnijscie jest bardzo szerokie, zapewne dla wygody uczęszczających, którzy wychodząc, do małych drzwi pewnieby nie trafili.

Jeśli lubisz widowiska popularne, jeśli ucho twoje nie obawia się słyszeć rozmów mocnych, wyrażen energicznych, wejdź na chwilę do *miejsca pocieszenia*.

Z rana wyrobnicy i włóczęgi, przychodzą tu zrobić początek i wesoło dzień zacząć; w ciągu dnia przybywają tu dla dodania sobie odwagi do pracy kieliszkiem *riquiqui* lub *sacré-chien*. Wieczorem ci którzy spili się nieco w szynku, idą dobić się w *miejsce pocieszenia*, które tym sposobem cały dzień ma gości. Są *miejsca pocieszeń* w których czytają gazety i mówią o polityce. Często bardzo jest ciekawem słysząc galgania-

rza na pół spitego chcącego utworzyć rząd mowy, lub węglarza na śmierć spitego upierającego się, że dopóki będą podatki konsumcyjny, nie będzie konsumentów.

Uczęszczający do miejsc tych nie są elegantami, ani bardzo grzecznymi, a gdy się im dobrze nie usłuży, wyrażają swe niezadowolnienie.

Człowiek w płóciennych spodniach, czapce na bakier, obuwiu podbitym żelazem, i w brudnej chustce, w skutek zaś nieumiarkowanego używania wina i tytuniu, pąsowy na twarzy, wchodzi z grymasem oznajmującym humor wołając:

— Dalej szklanke kropel... najtęższych jakie macie; chciałbym podnieść busole!

— Cóż ci to stary? mówi mały człowiek, twarzy pomarszczonej i czerwonej jak upieczone jabłko, w starym dziurawym surducie, w wełnianej szlafmocy, na oczy spadającej, z starą miotłą w lewym ręku, na której z wdziękiem się podpiera.

— Co mi.... Idę bić mą żonę.... Otóż wszystko.... i chcę siły sobie dodać aby nie osłabnąć.

— Cóż ci żona zrobiła, kiedy z rana zaraz chcesz ją wywalić?

— Co zrobiła!... Wzięła pieniądze, którem wczoraj zarobił i kupiła koszulę i pończochy małemu.... Oto masz zuchwałość

której znieść nie mogę.... Ja który rachowa-
łem na te pieniądze, aby uraczyć się z przy-
jaciołmi!... Hom! żony żadnego dla mężów
uczucia nie mają. Chcesz ze mną wypić
krople?

— Dobrze.... zawszem gotów dotrzymać
towarzystwa przyjacielowi.... Do ciebie
stary!...

— Do ciebie!... Eh! hop!... jednym łykiem.
Jeśli lubisz towarzystwo, znajdziesz go tu-
taj.

Wymawiając te słowa, przybyły pije, a
raczej polyka szklanę wódki.

Weteran, który wszedł do sklepu, tak sa-
mo czyni z kieliszkiem *kirszu* mówiąc:

— Jeśli on zostanie kapitanem, w skutek
starszeństwa, długo poczeka.

— Raz jeszcze obróciem, mówi indywi-
duum mające bić żonę, to mi doda więcej
odwagi.

— Najchętniej, rzecze mały człowiek
z miotłą.

— Zgoda weteranie? ja częstuję.

— Nigdy nie odrzucam grzeczności, od-
powiada stary żołnierz; ale zdaje mi się
że twa żona nie zasługuje na karę za to że
kupiła koszulę i pończochy małemu.

— Daj no pokój!... to są zbytki!... Czyż
to bachor, kiedy ma płucienną bluzę, potrze-
buje koszuli?... Czy bez pończoch obejść

się nie można?... Ja nie noszę żadnych.... a mam także same ciało. Zrobiła to, aby mi sprzeciwić się.... Powiedział mi to mały, gdy wyszła... Teraz chcę ją poprawić.... to mój obowiązek! W twoje ręce zuch!— do ciebie stary!... Raz!... dwa!... Oto tak się gra. Do widzenia przyjacielu.

Indywidualność w kamizelce wyszło. Mały człowiek w rękę mający miotłę, jest właścicielem pobliskiego sklepiku starzyzny i żelazstwa, które zostawia pod okiem ośmio, czy dziewięcio-letniej dziewczyny. Wychodzi od rana z miotłą pod pozorem zamiatania przed sklepem, posuwa się jednak aż do *miejsca pocieszenia*, gdzie często większą część dnia przepędza mówiąc co chwila:

— «Wyszedłem zamieść przed sklepem.» Czego wszakże ani raz w miesiąc nie uczyni.

— Nie słusznie chce żonę wybić, rzecz weteran do kupca starzyzny.

— Ba! ba! odpowiada mały człowiek kiwając głową, jeśli tak chce!... niech się zadowolni. Nigdy się nie należy mieszać do domowych kłótni.... Znasz przysłowie: *nie wścibiaj nosa gdzie nie trzeba*.... Czy tu dobry kirsz?

— Doskonały! z Foret Noire, zupełnie czysty.

— Ah!... zatem.... zkosztuję go.

Weteran sądząc że mały człowiek chce go częstować, wychodzi ze sklepu, a zapalwszy fajkę mówi:

— Jeśli myśli że ja za niego zapłacę.... będzie miał czas zamiatać.

Wkrótce nadchodzą przenoszący meble, piją po kieliszku i odchodzą. Dalej idą robotnicy, węglarze, służący z sąsiedztwa i t. p.

Jedni po drugich wchodzi bez przerwy.

Stara kobieta pije kieliszek wódki; przytém je funt chleba mówiąc:

— To mnie do obiadu utrzymuje.... Prawda że później jem kolacyą; ale wreszcie nie wiele o to stoję.

Duża tłusta kobieta, w okrągłym czepku, w dość dziwnym ubiorze, której spojrzenie zaledwie grenadyerowi by przystało, wchodzi do sklepu, gdzie pije jeden po drugim trzy kieliszki anyżówki, poczem mówi:

— Ale za łagodne.... to nie pomoże anyżówka.... Trza coś cięższego moje życie!

Podają prostą gorzałkę, a tłusta kobieta bez oddechu pije i mówi:

— To szczególne, nic mnie nie wzrusza! jednakże jedynasty to kieliszek wódki.... a nie ma trzeciej godziny jeszcze!... Ah moje dzieci, co to jednak są ludzie, powiedzieć że potym wszystkim trzeba umrzeć!... Daj mnie jeszcze kieliszek.... Bardzo lubię dwunastką żołądek polać.

Indywiduum ranne powraca w środku dnia, zawsze złego jest humoru: oko ma podbite. Stary, na miotle oparty, mówi mu:

— Czyż nie wybiłeś żony?

— Tak!... To jest kiedym szedł ją poprawić, uderzyła mnie pięścią w oko.... ale ja ją nauczę.... tém bardziej że od rana odkryłem inne jej zbrodnie!

— Ah! ba! cóż takiego?

— Surdut na niedzielę, który dopiero mam dziesięć lat, ostatniego miesiąca sprzedała pod pozorem zapłacenia gospodarzowi za mieszkanie. Głupstwo, po co!... Czyż o to trzeba się troszczyć? Czyż oni nie dość mają pieniędzy, gdy mają domy?

— A gdyby cię wypędził zabrawszy ci meble....

— Moje meble! Tak.... czyby śmiał to uczynić?.... Również mały mi to powiedział.. Ale natychmiast wracam do domu aby wytłuc żonę.... gdyż widzę nieład w mym domu. Garson, dwa kieliszki.... tylko tęgiej... Natychmiast, bo mi pilno.

— A więc minutę! zaczekasz póki nam nie usłuży, mówi człowiek w bluzie, który wchodzi z innemi już spitemi w handlu win, a tu przychodzącemi na dobitkę.

— Chcemy aby nam usłużono przedewszystkiem.... Jeśli temu indywiduum się śpieszy, to my go nauczem.

— Jak to! co? odpowiada człowiek w kamizelce; czyż mnie chcesz uczyć mówić.... Niegodziwcze.... Nie bierz tak wysoko albo wypiorę ci pyski.

— Ty!... choć no trochę niech cię zmierzę! stary! woła w bluzie człowiek, stojąc w położeniu gotowém do sprzymierzenia się. Chodź no!... ale już drżysz!...

— Ja drzę!... masz, napij się.

Natychmiast kułaki, kopanie, rozpoczynają się, oddawane najściślej, odważnie, żywo, co świadkowie zdają się uwielbiać, gdyż zamiast rozdzielić bijących się, nieprzeszkadzają im tego, a stary kupiec żelaztwa oparty na miotle, zdaje się cieszyć tém widowiskiem.

Ale właściciel *miejsca pocieszenia* obawiając się, aby bijący się nie potłukli butelek, poszedł po straż aby ich wyprowadziła ze sklepu. Kilku żołnierzy z kapralem przychodzą, rozrywają bijących, którzy idą na ulicę zakończyć kaleczeniem sobie twarzy i podarciem odzieży.

Widowiska te, bardzo częste w *miejscach pocieszenia*, bardzo prędko są zapominane dla innych nowych.

Wchodzi żona po męża zupełnie pijanego któremu wyrzuca że opuścił wino aby iść na gorzałkę.

Albo wieśniak z pod Paryża który zgu-

bił pakiet strón, woreczek i zegarek, uwielbiając osobliwości miasta, wstępuje do wszystkich handlarzy likierów i kupców wina, pytając czy nie znaleźli albo nieprzyniesiono im jego zguby.

Dalej przyjaciel częstujący drugiego. Płaci za pierwszy, drugi nawzajem za drugie danie; pierwszy proponuje trzecie, drugi odpowiada przez czwarte. W skutek ciągłych ponawiań kolei, panowie ci wkrótce nie są w stanie utrzymać się na nogach. Wyprawdzają ich za drzwi, gdyżby w sklepie zasnęli, a to przeszkadzałoby odbytowi.

Noc nadeszła a liczba konsumentów nie zmniejsza się, owszem widać nowych ludzi z podejrzanemi twarzami, których całe okrycie nie zapłaciłoby kieliszka gorzałki, którzy jednak garściami pieniądze wydobywają z kieszeni. Indywidua te mające niezawodnie przyczynę pokazywać się tylko w nocy, przychodzą bardzo późno do *miejsc pocieszenia*, jeśli wchodzi sami, wkrótce są otoczeni koleżeństwem. Mówią niezrozumiale, badają okiem dzikim osobę wchodzącą do sklepu, a znikają postrzegłszy patrol lub policję.

W nocy także przychodzą gałganiarze, tego przemysłu ludzie wchodzi do *handlu pocieszenia* na odpoczynek po trudach dziennych i dla przygotowania się na nocne.

Wreszcie wchodzą konduktorzy powozów, które się w dzień pokazywać nie zwykły; ludzie niewątpliwie użyteczni, których się jednak unika równie jak ich ekwipażów. Ale zwykle uczęszczający w nocy do *handlów pocieszenia*, mniej delikatnemi pokazują się, piją gorzałkę wraz z innemi i rozmawiają.

Stary kupiec żelaztwa powraca jeszcze wieczorem z swą miotłą do handlu likierów, przyjaciel jego w kamizelce płóciennej, który bił się z indywiduum w bluzie, przybywa również z okiem podbitym i nosem pokaleczonym.

— Jak się masz! stary! mówi mały człowiek. Jakżesz, zwyciężyłeś z rana?... Odważnieś się ścierał z tą bestyą, który cię lżył!... tego szło. Prawdziwa przyjemność była patrzeć na ciebie.... Pif! paf! jeden na drugiego nie czekał!

— Tak, tegośmy się głaskali!... od jednego razu sześć zębów mu wybiłem.... miał dosyć. Za pozwoleniem!... do rzeczy!... dwa kieliszki! potrzebuję *pocieszenia*!... Chciałem poprawić mą małżonkę... trochę mi nos rozdrapała.... Ale cierpliwości; znajdę ja ją wieczór.... Twoje zdrowie... Drugie dwa kieliszki!

— Dziś wieczór pokój zawrzesz.

— Pfe pokój!.... nigdy pokój!... chcę dom

mój na dobrej stopie postawić.... czyż temu nie wierzysz?...

— Tego nie mówię....

— Ci którzy mi nie wierzą, nie są memi przyjaciółmi!... tych biję.... Chcesz się bić... Bijmy się.... ha?

Kończąc te słowa indywiduum, którego oczy nabrały ognia, a któremu wódka odebrała rozum, przyskakuje do wiernego przyjaciela, porywa go za barki i trzęsie jak drzewem owocowem, gotując się nawet do kułaków; nie bez trudności człowiek z miotłą zdołał oddalić ręce które go jarzmiły, woła on głosem rozdzierającym:

— Za pozwoleniem za cóż mnie tak trzęsiesz, czy dla tego że mówię iż masz przyczynę bić swą żonę?

— To co innego.... teraz jesteś przyjacielem.... Pocałuj mnie. Przyjaciele są przyjaciółmi.... z téj zasady nie wykraczam.... Ah przyjaźń.... Jeszcze się pocałujemy!

Znów pijak ciska się na małego, tą razą bierze go za kołnierz, wielokroć całuje, ścisnąc znowu z całych sił; stary chce zakończyć dowody téj przyjaźni, odsuwa się nieco, w tém traci oba końce kołnierza które w rękach przyjaciela zostają, przyjaciel patrzy na nie z przyjemnością mrucząc:

— Naprawi ci go jutro mój szewc znajomy.... nie będzie można poznać.

Poczem obydwaj przyjaciele spici wychodzą kołysząc się, około północy. Mały stary wraca do siebie z miotłą. Drugi idzie do siebie, gdzie mniej złym jest niż się pokazuje, a gdy zbliża się do żony chcąc ją uściśnąć, ta kopnięciem go rzuca w drugi róg pokoju, gdzie resztę nocy przepędza nie śmiejąc się ruszyć.

Miejsca pocieszenia są otwarte większą część nocy, dla gałganiarzy, węglarzy, nocnych konduktorów, ludzi idących na targ, i wielu indywiduów których zatrudnienie jest wątpliwe. Są także kobiety które w nocy tu wchodzą. Odgadujesz jaki ich rodzaj i zatrudnienie; ale w mieście jak Paryż pobłażanie często jest koniecznością.

Wielu z tych którzy przychodzą pić w nocy kończą na ulicy, kładąc się spać w rogu pod murem; są i tacy którym niepodobna innego znaleźć mieszkania.

Aby wystarczyć obowiązkom i trudom *miejsca pocieszenia*, powszechnie właściciele ich mają żony. O ósmej wieczór mąż idzie spać i śpi do pierwszej rano, idzie następnie w handlu żonę zastąpić.

Otóż małżonkowie którzy się rzadko spotykają w łóżu, i żyją razem jak słońce i księżyc.

ARMATA

PAŁACU KRÓLEWSKIEGO.

KOMPAS ten stoi w ogrodzie na końcu czworogranu przy nowój Orleańskiej galeryi. Szkło pałace, na światło wystawione, nad małą armatą przesyła do niej ogień w południe.... gdy jest słońce.

W dni pogodne ogród Pałacu Królewskiego bardzo jest uczęszczany. Czytają tu gazety, które wynajmują w budkach umieszczonych na końcach ogrodu.

Są krzesła podług życzeń. Możesz czytać chodząc, siedząc, ale krzesło musisz opłacić.

Gdy nadejdzie godzina południowa a słońce skwarzy, widzisz amatorów przybywających i krążących około kompasu.

Jest to indywiduum bez zegarka chcące wiedzieć która godzina.

Jest to osoba mająca zegarek, a chcąca się przekonać czyli dobrze idzie, naregulować go podług kompasu Pałacu Królewskiego, aby później śmiało powiedzieć: zegarek mój jak słońce chodzi.

Jest to paraftianin który nigdy nie widział armaty od słońca strzelającej, a który postanowił widzieć ją gdy będzie w Paryżu. Jednakże trzy razy kolejno chodził do ogrodu Pałacu Królewskiego; ale czas nie był stosowny. Napisał do żony że słońce przestało działać; ta zaś odpowiedziała: «Jeśli to tylko widziałeś w Paryżu, nie radzę ci długo tam bawić; mój słoneczny zegar lepiej idzie od Paryzkiego kompasu.

Wreszcie pogoda nastąpiła, a nasz jegomość bieży do ogrodu Pałacu Królewskiego, pochlebiając sobie iż inaczej będzie mógł żonie napisać.

W końcu widzisz uliczników, tym wszystko jedno która godzina, głównie tu przychodzą słyszeć strzał armatni.

Daléj masz włóczęgów, ludzi bez zatrudnienia, przypadkiem tu przybyłych, albo przez zwyczaj, i zostających póki armata

nie wystrzeli, gdyż jest to coś do widzenia i przepędzenia czasu.

Daléj niańki z dziećmi. Małe chłopcy koniecznie huk działa chcą słyszyć, gdyż papa im powiedział iż to ich usposobi do wojny. Przeciwnie dziewczęta małe nie chcą blisko kompasu zostawać; krzyczą, płaczą, ciągną niańki za spudnice aby odeszły od armaty; ale gdy niańka ujrzy między włóczęgami indywiduum które na nią oczy zwraca, niemyśli odejść, da klapsa dziewczynce mówiąc:

— Zostaniemy, gdyż to brzydko aby dziecko było tchurzem.... gdy usłyszysz armatę obawiać się więcej nie będziesz złodziei ani wiatru.

W czasie gdy niańka tak pięknie rozumuje, ludzie przemysłowi, zegarków, tabakerek, chustek fularowych szukający, zawsze gotowi korzystać z okazji, łączą się z osobami zgromadzonemi przy kompasie.

Wszyscy są w oczekiwaniu.... i gdy już tracą nadzieję, wybuch daje się słyszeć.

Widzisz wtedy uliczników skaczących z radości, panów na zegarki patrzących, uśmiechających się, niektórzy z nich wołają: mój jak armata idzie!... w kieszeni mam słońce.

Dama która przechodzi ogrodem nie myśli wcale o południu, przestraszona wystrza-

łem, krzyczy i zdaje się być słabą. Mówi po cichu:

— Ah Boże! cóż to ma znaczyć?

Stary kapitalista słysząc strzał, wyjmując z kieszeni zegarek, a spostrzegając że dzie sięć minut jest przed południem, mówi:

— Jakżesz słońce się śpieszy!

Wreszcie sługa która chciała zostać z małą dziewczynką, nie spostrzegła się że w czasie wystrzału, chustka jej wyleciała z fartuszka. Zabiera dziecię mówiąc:

— A co!... pewnie się złodziei obawiać nie będziesz?

BŁAZNY.

PROSIEMY aby wcale wyrażenia tego za jedno z filutem nie brać: chociaż oba w jednym czasie zrodziły się we Francyi, jest przecież wielka między niemi różnica.

Filuty musieli się różnić od oszustów, gdy tymczasem można być blaznem i człowiekiem szlachetnym.

Mania blaznowania rozszerzyła się bardzo w Paryżu: obecnie większa część młodzieży sądzi, że blaznować, jest to mieć dowcip, że kto może z łatwością blaznować nad przedmiotami najpoważniejszymi, kto

ma zdolność zająć towarzystwo przez kilka godzin, jest znakomitą osobą, w towarzystwie poszukiwaną.

Ludzie bez wesołości, roztropności, dowcipu naturalnego i loiki, robią się błaznami. Obracają w dziwactwo wszystko co mówią i czynią drudzy, sądzą że przeszkadzają aby nie miano większego dowcipu, większej zdolności większych od nich zasług.

Błazny wesołemi nie są, owszem naruszają wesołość drugich; nie mają dowcipu a drwią z tych którzy go mają; nie nie umieją wynaleźć, ale wszystko krytykują, to jest wszystko w błazeństwo obracają; chcą w szyderstwo obrócić nawet rzeczy najświętsze, uniesienia najśłodsze; błaznują z grzeczności dziecięcia w dzień imienin jego ojca, z powinszowań w nowy rok, lub w pewne epoki pamiątek czynione; błaznują widząc przechodzący orszak pogrzebowy; błaznują przy obchodzie chrztu, i małżeństwa.

Błazny zastąpili kuglarzy, ale przynajmniej ci ostatni byli takimi z powołania. Mówiono nieraz w zgromadzeniu:

— Pan N.... jest oczekiwany: ma zamistyfikować kogoś, to bardzo będzie zajmujące.

Teraz wszędzie są błazny, w salonach przedmieścia Saint-Germain, Chaussée d'An-

tin i ulicy Saint-Denis; na balu bankiera i małego kupca; na widowiskach, koncertach; w kawiarniach, na przechadzkach kręcą się błazny. Są oni wszędzie; ulicznik błaznuje z mieszczan, rzemieślnik z majstra swego, urzędnik z naczelnika; błaznują we wszystkich klassach towarzystwa; co dowodzi że nie jest to rzeczą trudną ani nie wymaga wielkiego dowcipu, lub nauki.

Spostrzegasz jegomości znajomego, zatrzymuje cię, po zwyczajnym przywitaniu, woła tonem drwiącym:

— Wiesz co się stało temu biednemu... Istotnie serce mam żalem napełnione... Gdy to wczoraj powiedziano, zmartwiłem się... To dobry chłopak!... Ale zawsze na takich to przypada...

— O niczem nie wiem! mówże prędzej. Opowiedzże mi ten wypadek?

— Wczoraj wyjechał kabryoletem z żoną i synem do lasku Bulońskiego. Koń jego się rozbrykał, dwa czy trzy razy wywrócił kabryolet. X.... o pięćdziesiąt kroków był ciśnięty, żonę znaleziono na drzewie, a syna w krzaku.... Chłopiec jest ślepy a żona kulawa.

— Ah! mój Boże! X.... czyż się nie poranił?

— Na nieszczęście! biedny wstał bez nosa. Nie ma nosa; wielką mu to przykrość

robić będzie. Tém bardziej że zawsze jest zakatarzony.

Z ostatniego zdania domyślasz się że jegomość powiada ci błazeństwo. Patrzysz na niego, lecz on oddala się z wielkim śmiechem, uradowany że cię zastanowił.

Wszakże trudno przyznać, by cię zaba-
wił. Jeśli chcesz mieć wyobrażenie o sposo-
bie rozmawiania panów tych, wejdź do ka-
wiarni, słuchaj jednego:

— Chcesz grać jedną partya bilardu?

— Nie.... a ty?— Jadłeś śniadanie?

— Dla czegoż.

— Byłeś na nowój sztuce?

— Kilka razy.

— Co myślisz o małżeństwie panny B....

— Czy to jeszcze się żenią?

— Papiery spadają.... Czyż radzisz mi je
kupić?

— Lubię ją tak na sosie jak oliwie.

— Wiesz że biedny ten P.... zabił się,
gdyż źle mu szły interesa!... Nieszczęśliwy
powiesił się!

— Na szyi!...

— Nie na postronku!

— Bez kołka?

Nie ma przyczyny aby to się skończy-
ło, błazen tak całą godzinę opowiadać ci
będzie; zwykle znudzony odejdziesz.

W salonie, błazen zaczyna wtedy gdy roz-

mowa dobry bieg wzięła. Gdy dostrzeże że z uwagą słuchają opowiadającego jakim sposobem mąż odkrył że żona go oszukiwała, przybliża się do grona, i woła przerywając opowiadającemu:

— Pan nie wszystko opowiedziałeś. Na przykład to, że kochanek damy był wielkim Wezyrem Porty; że przybył inkognito do Paryża aby odnowić swój seraj, i że znaleziono w piwnicy jego hotelu dziesiętnaście pięknych kobiet które utrzymywał w celu wywiezienia ich później do Turcyi.

Wszyscy patrzą na siebie; jedni się śmieją, a inni pytają między sobą, co to ma znaczyć: nie wiedzą czy należy dać temu wiarę co poprzednio słyszeli, błazen zaś jest uradowany że sprawił wrażenie.

Błazny dobrego towarzystwa są powszechnie bardzo starannie albo zupełnie zaniechanie ubrani. Na balu ucziwego mieszczanina, który wiele przyłożył starania aby dobrze przyjął gości i na biletach zaproszenia napisał: *«będą tańczyć, proszę przybyć w balowym kostiumie,»* błazny przychodzą późno w starłej sukni, złych spodniach, dziurawych butach, z włosami rozczuchranemi, fajką czuć ich z daleka, co zapowiada że przybyli z szynkowni.

Sądzisz że wstydząc się swego ubioru,

wpośród towarzystwa dobranego, z daleka stać będą za tobą słowa niepowiedziawszy! Przeciwnie spacerują sobie w salonie, uśmiechając się z twarzą drwiącą, patrząc na starą kobietę, śmiejąc się w oczy papie tańczącemu, potem wołają:

— Ha! tak to tu tańczą!... Nie rozumiem tego!... Dziękuję wolę co innego.... Ah! ten tak!... Ah ta twarz!... Tu jest muzeum starożytności.... Ah! ta orkiestra! dwa fortepiany i jedne skrzypce.... to piękna rzecz.... Chcecie światła, wszędzie go rozstawiono!... nawet nad Panią.... Oszczędzajcie go, dałbym chętnie dziewięć sous za to wszystko... Zobaczmy ten poncz.... Ah! pfe, śmierdzi cebulą, poncz... z cebulą, to nowy wynalazek! Jeśli nie ma kolacyi, natychmiast wychodzę.... Poproszę aby mi moje pieniądze oddano.... zbyt się bawię....

Należałoby istotnie prosić Panów tych aby jak najprędzej wyszli, byłaby to przysługa dla całego towarzystwa. Ale w Paryżu grzecznie się obchodzą nawet z tymi którzy się na tem nie znają: jest to oszustwo.

Błazen, lubo z wszystkiego szydzi, wpada jednak na ciasta i lody. Przy kolacyi wszystko złém znajduje, a je za czterech.

Za każdą podaną potrawą stroi grymasy, mówiąc:

— Cóż to jest!... półmisek rodzinny.... Nie chcę téj potrawy.... To pewnie koń marynowany!... Kto mi poda maderę?... Nazywać to maderą!... To jest jabłecznik.... Biskopcy, dobry gatunek!... stróżę by ich nie jedli.... Postawiono na stole kieliszki do szampa, po co? otóż woda salcerska.... wolałbym limonadę.... Zapewne podadzą nam domowy likier.... Po koncercie amatorskim najbardziej się tych likierów obawiam.

Dobrze uważaj w wyborze towarzystwa... widzisz jak Pan ten ci dziękuje.

Błazen cię zaczepia w chwili gdy najmniej sądzisz się być na żarty wystawionym. Spotyka cię na bulwarze, staje przed tobą, kłania się nic nie mówiąc, ale patrzy na ciebie jakbyś co szczególnego miał w swęj osobie.

Znudzony tak długim badaniem mówisz: Czegoż na mnie tak patrzysz, czy mam w sobie co nadzwyczajnego?

Błazen jakiś czas nic ci nie odpowiada, wreszcie bierze cię za ręce, sciska je mówiąc:

— Kochany przyjacielu, przykro mi jest. Nigdy bym tego o tobie nie sądził.

Potém odchodzi zostawiwszy cię łamiącym sobie głowę aby odgadnąć co chciał powiedzieć, jeśli do błazeństw pana tego nie jesteś przyzwyczajonym.

W teatrze, błazen jest nieznośnym dla publiczności przychodzącój w chęci poznania sztuki. Gdy spostrzeże iż dama rozczuliła się sceną w której objawia się nędza i smutne położenie rodziny nie mającój chleba, błazen woła:

— To jój nie przeszkodzi jeść kolacją gdy wyjdzie z teatru, nawet pomoże to strawności. Aktorowie bardzo łatwo trawią..... Dla tego też zapewne grywają.

Jeśli aktorka, w roli młoděj uwiedzioněj dziewczyny, ze łzami w oczach mówi do ojca że nadużyto jój niewinności; błazen nieomieszka powiedzieć.

— Piękna jój niewinność!... Wszystka młodzieź tu na partarze będąca, już o jój niewinności dawno zapomniała, była jój amantami!.... Teraz na schyłku ma co miesiąc innego.... Dobrze udaje....

Między ludem błazen jest ogołoconym z dowcipu, dopóki nie otrzyma batów, lub kijów, co często następuje.

Mieszczanin który nigdy z swego cyrkułu nie wyszedł (są tacy w Paryżu) musi iść na drugi koniec miasta: po długim chodzeniu boi się zablakać, przybliża się do ulicznika siedzącego na brzegu ulicy i bawiącego się skorupami talerza; pyta go:

— Mój kochany gdzie jest ulica Brodeurs?

— He?

— Ulica Brodeurs?

— Jak?

— Ulica Brodeurs....

— Ah przepraszam.. Uczę się grać... Czy umiesz Pan tańczyć?

— Proszę wskaż mi ulicę?...

— Ah prawda; ponieważ Pan jej nie znasz, mógłbym wskazać; daje lekcję za sześć ludorów to nie drogo.

— Jeśli nie chcesz odpowiedzieć, to mi na nic się nie przyda....

— A więc.... więc.... siódma na lewo, ósma na prawo, potem ciągle na lewo i na prawo.... w końcu Pan tam zajdziesz.

Odchodzi obywatel niewiedząc czy ma wierzyć temu oznaczeniu, a mały błazen język mu pokazuje drapiąc się po głowie.

Są błazny między dawnymi wojskowymi. Ci lubią wiele gadać skoro mają sposobność. Salon ich jest na polach Elizejskich, w Petite-Provence de Tuileries, albo na ulicach lub bulwarach. Przybliżyć się a będziesz miał sposobność usłyszyć dobre błazeństwa opowiadane przez wojskowych: przechodzący słuchają ich z otwartymi ustami.

Wojak jest w środku opowiadania bitwy, gdy widzi swych słuchaczy zajmujących się jego opowiadaniem, woła:

— Na pierwszy wystrzał armatni przez

nas na nieprzyjaciela wymierzony, głowę moją porwała kula?

— Upadła głowa.... a masz ją jeszcze, mówią słuchacze zdziwieni.

— Gdyż za drugim wystrzałem armatnim, odleciałem o sto kroków, właśnie w to miejsce gdzie głowa moja leżała, która tak do-
brze na barki trafiła że teraz jestem cały

Słuchacze to chwalą, a wojak oddalając się obiecuje drugą razą opowiedzieć zdarzenie również sławne, przyczem głaszcze wasy i drwi sobie z tych których zajął.

RZYMIANIE.

RZYMIANIE Paryzcy nie wspólnego nie mają z mieszkańcami siedmio-pagórkowego miasta. Nie są to bynajmniej Brutusy, Horacyusze, Nerony; nie mają serc dzikich, są to ludzie którzy nie widzą zwycięstwa i powodzenia jak tylko w przyjemnościach. Potém ich bitwą jest w teatrze parter; bohaterami ich są aktorowie i aktorki; bogami autorowie, scena ołtarzem, a ręce składającymi ofiarę. Jednym słowem Rzymianie są te same osoby, które pospolicie nazywano najętami do klaskania, gdyż zobowią-

zują się do okłaskiwania sztuk, utrzymywania ich jak można najdłużej, często nawet powiększenia jej pomysłności.... siłą swych dłoni.

Wielu powstaje na Rzymian! Niezawodnie między temi którzy żądają ich zniesienia nie ma autorów dramatycznych, wiedzą oni że jeśli gdzie to w teatrze choć najmniejsza pomoc przydatną jest. Nie sądźcie, by nawet autorowie sławni którzy codziennie największy wpływ na scenę wywierają, gardzili urzędem Rzymian, owszem przeciwnie, szukają ich, proszą, zaznajamiają się z niemi. Trzeba im licznych falang... zawsze im mało!

Bo autor dramatyczny wie, że najlepiej ułożona sztuka, najlepiej napisana, może pokazać się nudną i zimną dla publiczności, która obawia się zkompromitowania klaszcząc.

Powiedzą ci: Gdyby Rzymian nie było, prawdziwa publiczność i twoi przyjaciele by klaskali.

To istotnie jakby ci mówiono: Sztuka twa wytrzyma próbę jeśli odrzuconą nie będzie.

Twoi przyjaciele!... Jakże wyraz ten hańbią! Przyjaźń tak jest rzadką!... Czy to prawdziwy przyjaciel pójdzie na twą sztukę aby ją krytykować?... Czyż będzie on szukał z sposobności powiedzieć coś na jaki

ustęp?... Czyżby on chciał pokazywać większy od ciebie dowcip przerabiając intrygę na swój sposób mówiąc: tak byłoby lepiej?... Czyżby on poziewał albo pokazywał się śpiącym w czasie zbyt przedłużonej twój sztuki?... Czyżby szydził usłyszawszy gwizdanie? A jednakże największa część tych którym rozdałeś bilety, sądząc ich przyjaciółmi, tak na widowisku postępuje.

Co do publiczności, ta składa się z większej części ludzi czekających na innych opinią aby utworzyć własną. Jeśli słyszą klaszczących, mówią: To śliczne! Gdyby słyszeli gwizdanie, powiedzieliby: prawda że szkaradne?

Wróćmy do Rzymian: stan ten ma coś komicznego, co powiększa szczególną pretensją większej części tych którzy go wykonywają.

Naczelnik Rzymian jest ten, który ma antrepryzę pomyslnego przyjęcia sztuk, jest człowiekiem przeważnym, człowiekiem z którym nieżałuje się zabrać znajomości; dodajmy do tego że może być nim szlachetny człowiek. Paryż wielu rachuje takich, którzy w położeniach przykrych autorów dramatycznych byli dla nich bankierami a nie lichwiarzami. A trza wiedzieć, że bankierzy ci rzadko bankrutami bywają.

Naczelnik Rzymian ma adjutantów, dowodzących grupami umieszczonemi w różnych częściach parteru; gdyż główny naczelnik wszędzie być nie może, następnie gdy sztuka dobrze jest przyjęta, oddaje on zupełnie władzę swą w ręce adjutantów, poczem teatr opuszcza.

W dzień pierwszego przedstawienia sztuki, trzeba widzieć z jaką zręcznością naczelnik rozdziela Rzymian na parterze. Znaczną ilość ich stawia w środku. Część dotykająca publiczności, nazywa się *lisière*; ta to część najlepiej powinna być dobraną z powodu stykania się z publicznością.

Są następnie inne grupy w różnych stawione miejscach, przez adjutantów kierowane. Dalej rozstawiają kilku Rzymian pojedynczo, samych pośród płacącej publiczności. Miejsce to jest bardzo pożądané, gdyż daje pozór osoby która kupiła bilet i klaszcze z przekonania, ale żeby osiągnąć tę łaskę, trza przedewszystkiem być dobrze ubranym.

Przed rozpoczęciem sztuki naczelnik mówi do Rzymian:

— Wy, Pani B.... oklaski dacie. Wy, Panie D.... Wy, Panu X.... oklasków nie dacie. W pierwszym akcie mało będziecie klaskać, w drugim więcej, ale w trzecim śmiać się na głos i bez końca sypać oklaski będziecie.

Autor wchodzi w zawód, ostatnia sztuczka jego była wygwizdaną. W tej trzeba mu odplacić! Dopiero po drugim akcie sprzedać możecie kontramarkę i to tylko znajomym.

Są też amatorowie Rzymianami, to są osoby niechące zapłacić całą cenę biletu na parter, a chętnie pragnące być na widowisku; ci są przypuszczeni do grona za pośrednictwem filiżanki kawy lub kieliszka likieru których cenę płacą Rzymianom. Liczba takich małą jest, jednak powiększa grono, a często naczelnik bardzo jest szczęśliwy ich znalezieniem, gdyż jego Rzymianie, znudzeni widzeniem pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt razy jednej sztuki, opuszczają często swe sztandary.

Posłuchaj Rzymian rozmawiających między sobą po pierwszym przedstawieniu sztuki, która mimo wszelkich ich usiłowań znakomicie była wygwizdaną.

— Pierwszy akt uszedł. Ale po cóż wystąpiła w drugim ochmistrzyni?... Wszystkie ochmistrzynie powinny były wymrzeć w pierwszym.

— Co ty myślisz? Bertrandzie nic nie mówisz?

— Ja myślę, że skoro ma się białą koszulę i nowy kapelusz, można stać w *li-sière*. Gdy przeciwnie stawiają mnie w środek obok dwóch nowicyuszów którzy klas-

kali co chwila, nawet gdy aktor list przynosił.... Mówiłem im sza! cicho bądźcie! czekajcie zakomenderowania! oni nie zważali.... Nie ma z niemi sposobu.

— Ja zaś ubrałem się starannie.... wodą kolońską chustkę zmoczyłem, chcąc stać pojedynczo, tym czasem pakują mnie w grupę na lewo.... Jest się więc po co ubierać!

Gdy Rzymianie rozmawiają między sobą naczelnik ich wszedł do teatru; spotyka autora rozmawiającego z dyrektorem; obydwaj nie mają zadowolonej twarzy: zbliża się do nich grzecznie.

— Wcale źle poszło! mówi dyrektor.

— Mało klaskano, mówi autor.... zdaje mi się żeś Pan wcale nie klaskał?

— Wcale nie klaskał! odpowiada naczelnik Rzymian z zapewnieniem. Ah! Panie.... zapytaj raczej wszystkich!... Mnie tylko słyszano!

Dyrektor śmieje się z odpowiedzi. Autor przygryza wargi, a Rzymianin dalej mówi:

— Zresztą bądź Pan spokojny! sztuczka nieodrzucona!... Zobaczysz Pan drugi raz jak pójdzie.... klaskać każe wszystkim aktorom nawet tym którzy mnie biletów nie dają.

POLA ELIZEJSKIE.

ŚLICZNY ten spacer, zaczyna się od placu Concorde, a ciągnie aż do roгатki Etoile. Jednakże należałoby tylko tę część nazywać polem Elizejskim, która jest wzdłuż przedmieścia Roule: część rozciągająca się wzdłuż Sekwany jest Cours-la-Reine; ale jest teraz zwyczaj mieszania obu tych nazwisk.

W 1670 pola Elizejskie były jeszcze domami pokryte. Wtedy to zaczęto sadzić drzewa; nowa przechadzka otrzymała na-

zwę Grand-Cours, aby ją nie mieszać z Cours-la Reine.

Od tego czasu plantacye często były odnawiane. Dziś drzewa Pól Elizejskich są duże, mocne, gęste, a cień ich ochrania od słońca, licznych przechodniów tu schadzkę sobie dających.

Pola Elizejskie jedyną są wiejską przechadzką, którą Paryżanie zachowali w swém mieście, w którym wszystkie drzewa murom i kamieniom ustąpiły. Długość pól Elizejskich ma około czterystu sążni; widzicie więc że jest gdzie się przechadzać; dla tego też mieszkańcy wielkiego miasta często przychodzą do pól Elizejskich aby odpocząć, odetchnąć po trudach. Przechadzka jest tém dziś dla Paryżanów, czém dla dziadów ich było Pré-aux-Cleres. Pré aux Cleres zajmowało dzisiejsze ulice Jacob, Verneuil, Université, Saints-Pères, Petite-Augustus, i t. d. Była obszerna łąka na dwoje przecięta kanałem Petite-Seine, zaczynającym się przy rzece a później idącym w fossy Saint-Germain-des-Pres. Dla tego też były małe i duże Pres aux Cleres. Uczniowie uniwersytetu przychodzili tu w święta rozerwać się, jak dziś studenci chodzą do pól Elizejskich. Prés aux Cleres służyło także za miejsce pojedynków; nasze pola Elizejskie są spokojniejsze: nie biją się pod ich drzewami; ho-

norowi ludzie naszego czasu mozołą się jada aż do lasku Bulońskiego gdy spór roztrzygać im przyjdzie.

Trudno jest dać wyobrażenie o tym wszystkim co teraz znajdziemy na polach Elizejskich mianowicie o grach, rozrywkach, zabawach, przyjemnościach wszelkiego rodzaju. Naprzód pełno tu jest restauratorów: restaurator jest niezbędny we wszystkich zgromadzeniach, jest duszą zabaw które prawie zawsze u niego się kończą.

Traktyernicy na polach Elizejskich mają małe ogródki, małe gabinety otoczone mura-
wą; wszystko to daje im widok na pół wiejski co ściągą gości, chociaż płaci się tu równie drogo jak w środku miasta a często nawet drożej. Dalej są tu kawiarnie; nie tak świetne i ozłoczone jak w środku Paryża, ale można tu odpocząć, rozmawiać, a ściśle mówiąc i posilić się nieco.

Sliczna sala, widowiska sztucznych jeźdźców, powstała niedawno na polach Elizejskich; zasługuje abyśmy jęj ustęp jeden poświęcili; tymczasem powinniśmy powiedzieć że bytność cyrku przyciąga massy widzów w tę część pól Elizejskich w każdej porze roku.

Przejdźmy się nieco pod temi drzewami: tu widzisz człowieka pokazującego latarnią czarnoxieżką: za jedno sou ciekawe

rzeczy zobaczysz. Niańki, dzieci, ulicznicy, rekruty cisną się do niej; zamykają ich pod namiotem płóciennym, gdzie bardzo są ściśnięci, co im nie przeszkadza doznawać i w tym położeniu przyjemności, jak się to daje widzieć z ich wykrzyków radosnych i innych.... Szczęśliwi którzy za sou tyle przyjemności doznają! śliczna to rzecz, ciekawa!... Teatra nasze rzadko nam podobne przedstawiają sztuki.

Daléj zobaczysz kuglarzy, skoczków na linach, pajaców; Pola Elizejskie mają ich pełno, jakkolwiek dosyć ich na ulicach Paryża.

Widzisz tam na głowie chodzącego, znów kobietę na piersiach mającą taboret na którym siedzi mężczyzna, trzymający chłopaka, który królika trzyma za uszy; to zadziwiające, doskonałe. Tam znowu ludzi którzy połykają szpady, bawią się sztabą rozpalonego żelaza jak by bukietem; wszystkie mu towarzyszy muzyka, ale jaka muzyka!... Wielki i mały taraban, cymbały, klarnety, rogi polownicze, trąby, flagi chińskie! Jeśli twoje ucho zniesie to wszystko, możesz bezpiecznie być przytomnym strzelaniu do tarczy Vincennes.

Ale może nie lubisz téj muzyki, może nie zbyt wielką doznajesz przyjemność na widoku kobiety unoszącej na brzuchu dwieście

funtów ciężaru. Szukasz obrazów przyjemniejszych; wtedy idź dalej. Wszędzie dzieci grają, biegają, chowają się, grają w piłkę albo się ścigają; gdy ich niańki, siedząc nieco dalej pod drzewami z spuszczo-nemi oczyma, słuchają rozmowy młodego żołnierza który z tej samej co one musi być okolicy. Niania bardzo lubi mundur; wo-jak bardzo jest dla niej niebezpieczny, prze-chadzka, po polach Elizejskich bardzo jest dogodną do objawienia uczuć.

Może cię nudzi odbierać w nogi uderze-nia kół kręglowych, widzisz tu grających w kręgle nawet dzieci: gdyż amatorowie kręgli nie wszyscy jednej są młodości.

Gra w kręgle bardzo jest lubiona na po-lach Elizejskich; tam to wprawiają się wiel-cy gracze; robią piękne partye, wielu włó-częgów, kapitalistów, inwalidów, przycho-dzą całe dnie przepędzać na polach Elizej-skich aby patrzeć na grających w kręgle.

Również ćwiczą się w balony. Mieście się na baczności spacerujący nierozważnie, którzy patrzycie na wielkie balony białe, przerzynające szybkością bomby powietrz-ne; grający korzystając ze sposobności przy-biega ku tobie.... usuń się.... jeszcze czas... Nie usunąłeś się.... Tę gorzej, młodzieniec w koszuli ciska się na ciebie, odpycha ostro

na bok, aby przyjąć i odesłać balon który prosto szedł na twą głowę; ponieważ nie oczekiwałeś tego, tracisz równowagę i na trawę upadasz.... Wszyscy się śmieją, radzą abys także się śmiał, gdyż grający ma słuszość za sobą i skargi twe źle byłyby przyjęte.

Amatorzy wybierają pola Elizejskie także i do gry w rakiety. Ciśnięte wysoko; świeższą one w powietrzu, prawie wzrok twój je gubi.... Ale miej się na ostrożności jeśli idziesz w stronę w rakiety grających, możesz tam mieć podobny jak w grze w balony przypadek; tu jednak nie obalą cię na ziemię, ale uderzy cię rakietą w nos naprzykład, to daleko niebezpieczniejsze.

Przechadzasz się jeszcze, idziesz między inne gry, zawsze miej się na ostrożności: uczeń grający w piłkę na nic nie uważa, nic nie szanuje; ciśnie bez uwagi na spacerującego który mu stanie na drodze, wtedy możesz wywrócić się, nawet cię nikt nie uprzedzi!... Ale to młodzieź się bawi, dziwnem byłoby gniewać się na nią. Może uważać będziesz, że spacer na polach Elyzejskich, który tak nie bezpiecznym maluję, przedstawia co chwila niebezpieczeństwa w które niechciałbyś popaść; unikniesz ich, dość jest miejsca w tych rozległych alejach, na

trawnikach po których przechadzać się możesz bez obawy balonu, rakiety lub piłki.

Jeśli odosobnienie przekładasz, idź w stronę alei wdów: tutaj bywają schadzki miłości; tu znajdziesz również restauratora; zabawy, gdzie możesz prowadzić twą lubę, jeśli nie powstydzi się wejść w miejsce gdzie tańczą nie zbyt przystojnie.

Wreszcie, gdy już po przechadzce tu się znajdujesz, gdy dość na bawiłeś się, na uwielbiałeś piękne te domy wystawione przy rogatkach, ville rokoszy, po większej części zamieszkałe przez bogatych bankierów, cudzoziemców i kupców koni, zejść z pól Elyzéjskich od strony miasta, znajdziesz tu krzesła na których spacerujący odpoczywają, i gdzie swobodnie przypatrzyć się mogą przechodzącym, ekwipażom i jeźdźcom do lasu spieszącym.

Wjazd do Paryża rogatką Etoile jest pyszny! śliczna droga, doskonale utrzymana, pełno ekwipażów, ślicznych dam, jeźdźców zręcznie przy nich jadących, domów wykwintnych i ludzających, przechodniów włączających się z rokoszą po obu stronach ogrodu; wreszcie Pola Elizéjskie z całą wzniosłością, plac Concorde z swemi obeliskami, kolumnami, fontannami, latarniami złoceniemi. Co za widok piękny! jakież wyo-

brażenie może mieć o Paryżu ten który przybywając pierwszy raz do wielkiego miasta, wjeżdża tą rogatką!...

Niezawodnie inne miałby myśli gdyby przybył rogatkę Chopinette, albo Rats.

KANAŁ.

CZĘSTO mówią kanał Saint-Martin, obecnie nie ma on prawa do nazwy Saint-Martin, ale do takiej jakiej mają cyrkuła które przebiega. Kanał wypływa z sadzawki Villette; przechodzi między szpitalem Saint-Louis i bulwarem; przebiega przedmieście Temple, ulice Menilmontant, Chemin-Vert a kończy się na placu Bastille, nie obejmując w to śluzy Gare.

Kanał bardzo dobrze jest utrzymywany, otoczony murami, ma podwójną na targi drogę; wreszcie postawiono na jego brze-

gach rząd topol, mających dość pozorną minę, gdyż są blisko wody a gaz nie dochodzi ich jeszcze.

Strona południowa nazywa się nadbrzeżem Valmy, północna Jemmapes; nie ma innego nazwiska wzdłuż całego kanału.

Nadbrzeża kończą brukować. Wzdłuż kanałów wystawiono domy. Cyrkuł ten będzie może w lat kilka tak zaludniony, tak handlowy, wesóły, jak nadbrzeża Sekwany, ale nie nadeszły jeszcze te czasy; gdy idziesz dalej jak jest ulica Menilmontant od strony Bastillii, albo gdy przechodzisz ulicę Grange-aux-Belles schodząc od strony Villette trafisz na smutne wybrzeże, mało zaludnione; nie sądziłbyś się w Paryżu, nie ma tu ani widoku ani ruchu, ani hałasu wielkiego miasta.

Ale ponieważ są przechadzający się którzy lubią odosobnienie, radziemy im brzegi kanału. Kochankowie często tu schadzkę sobie naznaczają. Okolica istotnie jest przyjazna do czułych rozmów: można tu spokojnie rozmawiać nie mając przeszkody z turkotu pojazdów. Sąsiedztwo statków praczek nie jest zbyt przykrością; z daleka widzieć można nadchodzących zazdrośnych lub niepotrzebnych.

W lecie gdy dzień ma się na schyłku, widzisz wracające wzdłuż kanału, pary szczę-

śliwe ze spaceru mało uczęszczanego. Idzie tam młody kupiec lub urzędnik, pod ręką prowadzi piękną Gryzetkę, z czasu do czasu, obejmuje on kibić swęj metressy i bardzo czule przyciska. Gryzetka robi poruszenie jakby tego nie chciała, mówiąc głosem nic groźnego nieokazującym:

— Ah! cóż Pan robisz?... Czyż to tak na spacerze zachować się należy?... czyś Pan oszalał?

—Cóż złego robimy? odpowiada młodzieniec; nikogo nie widać.... tu jesteśmy jak na wsi.

Nieco dalej również jest para miłosna, ale są to rzemieślnicy. Człowiek w błuzie nie zupełnie białej; z czapką na uchu co oznacza hałaburdę; ręce jego czarne i pokaleczone, nie przeszkadzają mu być w najwyższym rozognieniu. Kochanka jego jest w małej czarnej spudniczce, kaftaniku formy indyjskiej z chustką na głowie, w trzewikach od dawna w pantofle przemienionych.

Kochanek jej nie poprzestaje na samém ściskaniu kibici; z czasu do czasu bierze ją w objęcia i chce pocałować; młoda dziewczyna krzyczy wtedy głosem grzmiącym:

— Skończ-no twoje głupstwa!... nie chcę abyś mnie na ulicy całował!

— Czyż to ulica?... to kanał! Dalej

spróbujmy, nie wykręcaj-no główki, przecież to nie pierwszy raz cię pocałuję!

— Ale, jak to, na dworze!...

— Widzisz.... ptaszki nadworze się całują, a nikt im nie przeszkadza!...

— Ale tu, przed statkiem z węglami!...

— Eh! nikt nie przechodzi....

— Jeśli nie przestaniesz!... uderzę cię!

— To mi jedno.... odważam się na to.

Pocałował i uderzonym nie został.

Częstokroć widzieć także można na brzegu kanału damę elegancką, na ręku młodzieńca w paliowych rękawiczkach i przy lornetce, wspartą. Z pewnością para ta w cyrkułe tym nie mieszka, aby tu przybyć, trzeba mieć powód szukania samotności. Niewątpliwie chcą uniknąć oczów zazdrosnego, tyrana, człowieka żyć nieumiejącego, i dla tego naznaczono sobie na brzegu kanału schadzkę. Tu zdaje się im daleko od Paryża, patrzą na kupców, mieszkańców jak na dzikich którzy nigdy nie byli na *Chausée-d'Antin* i którzy nie poznaliby tamtejszych mieszkańców; zatem bez obawy przechadzać się tu można.

Dla tego też para ta miłosna bynajmniej się nie żenuje, czule na siebie spogląda, ściska sobie ręce przelewając tym sposobem gorejące uczucia, jegomość obejmuje kibić uroczej damy, która bynajmniej te-

mu, jak Gryzетка, zapory nie stawia, pocałowania jéj daje, w czém nie ma jak ów rzemieślnik przeszkody. Dla tego tak się dzieje gdyż jegomość ten i dama uważają się w obcym kraju, i mało troszczą o opinią tamecznych.

Ale nie sądz aby nad wieczorem brzegi kanału jedynie przez kochanków uczęszczanemi były!... Nie odważyłbyś się przejść tędy z żoną lub córką o tym czasie. Bądź tego pewny, szlachetny i uczciwy obywatelu!... bądź pewny. Brzegi kanału również są przechadką ulubiojną mieszkańców domów, nowo w tym cyrkule zbudowanych, a nie zdaje się aby wszyscy kochankami byli; toby zbyt uroczém było, a mieszkania tu zbyt są drogiemi.

Patrz raczój na tego jegomości i tę kobietę: idą pod topalami. Jegomości minęła pięćdziesiątka; otyły brzuch jego nie chce już być w spodniach więzionym, co zmusiło go nie używać szelek i przełożyć zapinanie które dowolnie się rozszerza; tak je wiąże, że koszula tworzy pewien rodzaj pasa oddzielając spodnie od kamizelki, ale przynajmniej jest mu wygodnie, tego też tylko pragnie. Spodnie jego wchodzą w pantofle; ma szlafrok, chustkę na szyi związaną i duży słomiany na głowie kapelusz. Je-

gomość ten uszedłby za osadnika, ale nigdy za kochanka.

Kobieta na nim oparta tak prawie jak on ogromna, odziana jest w szlafrok bez żadnego kształtu, coby też na massie tej tłuszczu być nigdy nie mogło; ma trzy podbródki schodzące piętrami, sapie chodząc, głowę jej zdobi mały kapelusik nazywany bibi, tak mały że za ledwie połowę czoła zakrywa.

Niewątpliwie nie samotności szuka ta para. Jest to dobre małżeństwo, dawni kupcy, zaprzestali handlować, mieszkają teraz na brzegu kanału, wychodzą wieczór po całodziennym skwarze, aby przejść się na świeżem powietrzu, w prostym ubiorze któryby nie wdzieli z bojaźni aby wytykanymi nie byli palcami, w innym cyrkule Paryża.

Daléj widzisz ojca rodziny z dwoma dziećmi i psem którego chcą kąpać; jest to jedna jeszcze z wielu przyjemności na brzegu kanału nastąpić mogących; zwykle kąpią tu psów, do czego te mało mają pociągu, muszą być szczęśliwe w tym cyrkule.

Dzieci biegną przed ojcem, pies bieży za dziećmi; ojciec podwaja kroku aby ich dogonić; jest to bardzo zajmujący obraz.

Wreszcie wstrzymuje się jegomość przed barakiem, podejmuje kawałek drzewa, na psa spogląda; ten z wyciągniętym pyskiem

spuszczonemi uszami, na Pana spogląda. Drzewo wpadło do wody, a pies za nim. Dzieci biegną z niecierpliwością za wier-
nym czworonożnym zwierzem, który jak ry-
ba pływa. Przechodzący nad brzegiem sta-
ją i patrzą; najmniejsze widowisko ściąga
uwagę Paryżanów którzy zdają się chwy-
tać najmniejszą sposobność następczącą
rozrywkę.

Pies złapał drzewo; uchwycił zębami, po-
wraca do Pana, który na brzegu czeka. Pan
bierze rzecz przyniesioną; sądzą że pomo-
że biednemu zwierzęciu wyjść z wody. By-
najmniej, ogrzewa go spojrzeniem, gestem
i ciska powtórnie drzewo na wodę, gdzie
pies powtórnie idzie i przynosi. Mała ta
wprawa pięć lub sześć razy ponawianą by-
wa, patrzący ubolewają że biedny pies mu-
si pływać tyle razy, ale pan jego wcale
tym się nie męczy.

Kanał ma dwadzieścia metrów szeroko-
ści; nie możnaby go jak rów przeskoczyć;
dla tego też postawiono mosty w dość bli-
skich odległościach. Mosty te mogą się od-
wracać aby zrobić przejście dużym stat-
kom, każdy ma dozorcę. Ponieważ przed-
mieście Tample bardzo zaludnione, ucze-
szczane bywa przez mleczarki z Belleville,
Romainville i Noisy-le-Sec dla tego wysta-
wiono tu dwa mosty.

Ale często gdy ci się śpieszy przejść na przeciwny brzeg kanału mosty są zdjęte dla przepuszczenia statków. Musisz czekać puki statek nie przepłynie; a gdy ciężki, wolno idzie.

Wtedy oba brzegi kanału napęłniają się ludem, pieszemi, pojazdami jeźdźcami, którzy muszą czekać póki most nie stanie. Jeśli to zdarzenie zajdzie na moście przedmieścia Temple, w chwili jednej łańcuch pojazdów, bryk, mleczarek, osłów, tworzy się aż do bulwaru; dalej widzisz uliczników, robotników, a czasem ludzi którzy powinni być rozsądniejszemi, rzucających się na most nim dotknie drugiego brzegu.

Jednakże zawsze i wszędzie ludzie wyprzedzają się, każdy chce być pierwszy, zostawić drugich w tyle, przejście mostu na kanale jest słabem tylko obrazem tego co w całym dzieje się mieście.

CZYTANIE GAZET.

ZOSTAĆ musisz w łóżku gdyż nieco słaby jesteś; doktor zakazał ci czytać, gdyż to oczy i głowę utrudza; nadto czytając, trzeba koniocznie wysunąć się nieco z pod kołdry i zaziębić się można.

Ale masz synka dziewięcio lub dziesięcio-letniego, płynnie Telemaka i Robinsona czytającego; nie jest na pensyi gdyż rekreacya. Każesz mu czytać przy sobie, to cię rozerwie i niewiele zmorduje.

Wołasz go.

— Będiesz czytał kochany synku. Ah!... sędzę żeś uszczęśliwiony.... Czytać ojcu

gdy on słaby.... to jest zatrudnienie z którego dumnym być powinienes.

Mały nie wygląda aby był zadowolony: wolałby kozły wywracać niż czytać: Jednakże przystaje na to i pyta krzywiąc się.

— Cóż papa życzy sobie abym czytał?

— Weź gazetę co na stole leży.... Miło mi będzie usłyszyć nowiny. Czytaj, to również cię zabawi.

Mały bierze gazety, rozwija je, siada przy twym łóżku, i zaczyna czytać:

«Towarzystwo ubezpieczeń życia ludzkiego»... Syn twój zatrzymuje się, wołając:

— Ah! kochany papo.... czyż to może być prawdą.... Czyż ludzie życie zapewnić mogą?... zatem kto jest chory.... nie powinien obawiać się śmierci.... Niech papa swoje ubezpieczy.... w takim razie mógłby papa jeść nawet gdyby doktor zabronił.... Nie obawiałbyś się niestrawności.... Ah chciałbym być zabezpieczony.

Wiele masz trudności dać do zrozumienia synowi że zabezpieczenie życia nie przeszkadza nikomu umrzeć. Każesz mu co innego czytać; czyta:

Pigułki na...

Zatrzymujesz czytelnika, mówiąc:

— Dość! dość! Niepotrzebuje abys mnie to czytał....

— Ah kochany papo, zdaje mi się że to

pigułki bardzo muszą być dobre.... Przecież to nie te które kładą w fuzyę aby wystrzeliła?

— Nie, nie, to co innego.

— Oh! mój papo! chciałbym zjeść parę tych pigułek nie kupiłby mnie papa?

—Przestaniesz głupcze?... Czytaj dalej..
Mały z pewną niechęcią dalej czyta:

Lekarstwo na...

Z gniewem przewróciłeś się w łóżku, wołając:

— Dość tego!... Nudzisz mnie.... więcej słuchać nie chcę. Nie smaczne rzeczy mi czytasz.

— Jakto! czytam gazetę kochany papo. Mówiłeś papa że to mnie bawić będzie.... ale to wcale mnie nie bawi.

— Ani mnie, idź, wolę spać.

Przysłuchajmy się czytaniu gazet u damy z przedmieścia Saint-Germain.

Jest to stara markizowa bardzo majątna; wychowała jednego siostrzeńca który jest pod jej staraniem; w zasadach najsurowszych: pszeznacza go do stanu duchownego, jeżeli przypadkiem nie poszedł do syminarium nie wolno wymówić przy nim nawet wesołego słowa o historii, awanturach gdzie miłość gra rolę. Wreszcie unikać wypadła najmnijszej rzeczy nad przedmiotami któreby obrazić mogły skromność.

Stara dama siedzi w salonie na sofie;

cierpi romantyzm który jęj się ruszyć nie pozwala.

Siostrzeniec o dziesięć kroków od niej siedzi na brzegu krzesła, z spuszczonemi oczami, odpowiada on ciotce tylko wyrazami jednozgłoskowemi: dama bardzo się nudzi, rozmowa siostrzeńca nie rozrywa jęj cierpień, wreszcie mówi:

— Weź gazety na męj kanapie leżące.... Nie mogłam dziś czytać.... Nie mogę się ruszyć.... Poczytaj mi trochę. Gazeta jest poważna... czytać ją można bezpiecznie.

Młodzieniec kłania się, wstaje, bierze gazetę, powraca, siada na brzeszku krzesła, i czyta głośno i wyraźnie:

— O hemoroidach: sposób ich traktowania, wyleczenia, nawet uniknienia. Mężczyźni bardziej od kobiet napastowani tą chorobą, tarcice....

— Przestań!... przestań prędko! zawoła stara dama poprawiając się na sofie... O mój ty Boże! cóż to ma znaczyć?

— Kończę ciociu; kilka jest jeszcze wierszy, odpowie młodzieniec dalej czytając:

— Na tę część delikatną ich ciała....

— Dosycć mości panie; cicho bądź zaraz!... Czyż to można takie rzeczy mi czytać.

— Ciociu, to jest w Gazecie.... Kazałaś mnie czytać.

— Nie wiedziałam! To musi być błąd dru-

karski!... opuść to... czytaj co innego, abym zapomniała, szkodliwy artykuł!

Młodzieniec dalej głośno czyta:

— Lewatywa użyteczna, i wygodna w pudełeczku które mieć można. Sposób użycia jej jest prosty i wygodny. Kaszlanie stariej damy przerywa jeszcze młodzieńcowi; patrzy na ciotkę, która podnosi ramiona i tupie nogami, mówiąc:

— Będziesz milczał! Jak śmiesz takie szczegóły czytać.... To haniebne! oburzające!

— Ciociu, to gazeta.... nie nie dodaję.... czytam.

— W jakim wieku żyjemy! Podobne umieszczać rzeczy w dzienniku którego szanowałam... Nie będę go trzymała.

— Chce ciocia abym co innego czytał?

— Sama nie wiem....

— Oto jest artykuł którego może zrobić jej przyjemność.

— Traktat o chorobach... od czasu jak sławny Christoph Colomb przywiózł je do Europy.

Tu dama prawdziwie ryknęła mimo cierpiącego stanu, wstaje idzie do siostrzeńca wyrywa mu z rąk gazetę, ciska w ogień.

Jdźmy teraz do dobrych mieszczan z Marais. Mają małą córeczkę ośmioletnią, grzeczną, i ciekawą, i która jak mówią wszystkiego co chce nauczyć się może. Małe

dziewcze nauczyło się czytać aby wiedzieć piękne powieści, historyjki któremi straszą po zgaszeniu światła. Dziecie wszystkie już książki pożarło, żąda nowych tak dalece że mama nie mająca często czasu czytać gazety mówi do swej córeczki:

— Będiesz mi czytać codziennie gazetę gdy ojciec pójdzie na kawę.

Mała z radości skoczyła, gdyż powiedziano jej że gazety napelnione są historyjkami, morderstwami, kradzieżami, wreszcie rozrywającemi rzeczami bardzo zdolnemi strach wzbudzić. Czeką z niecierpliwością chwili wypełnienia obowiązków lektorki.

Wreszcie po obiedzie, papa podług zwyczaju idzie na kawę; dziewczynka zostaje z matką i babką dobrą siedmdziesięcio dziewięcio letnią kobietą już do dzieciństwa wracającą; spieszy się wziąć gazetę; matka wzięła się do haftowania, babka myśli robić pończochę nie spostrzegłszy że od pięciu lat robi tę samę; dziecie zaczyna czytać gazetę:

— Dom położnic, utrzymywany przez akuszerkę która brała od pierwszych akuszerów w Paryżu lekcyę.

Mama przerywa córce mówiąc:

— Moje dziecie, to za nudne. Nic nie rozumiem.... opuść przejdźmy do czego innego.

Babka która myśli że idzie o table d'hôte, mówi potrząsając głową:

— Ja to rozumiem!... Idzie się tam za pietnaście sou.... Dają trzy półmiski i deser. Często tam chodziłam ale zawsze dawano baraninę, czego nie lubię....

Dziewcze bardzo przezorne, odpowiada babce złośliwym tonem.

— Czyż to babunia słabość tam ukryć chciała?

— Moje dziecko, jesteś głupiutka mówisz o tém czego nie rozumisz!... To należy do doktorów.... Słabość znaczy złe zbudowanie osoby.

— Tak, tak mówi babka, wielem chowała tych małych.... mopsika lubiłam; teraz wolę wyżelków, niewiem dla czego! mopsiki są przyjemniejsze. Nosiłam zawsze jednego pod szalem gdy wychodziła.

Maleńka robi dziwną minę, jakby chciała matce powiedzieć: Bardzo dobrze rozumiem co czytam. Potém czyta dalej.

— Bandarze, nowy sposób zabezpieczający od chorób, Ludzie idący często na polowanie a którzy nie noszą....

— Ah! cóż tam moja córko znów czytasz! woła mama rumieniąc się. Czyż to gazety stały się teraz amfiteatrem szpitali. Nie rozumiem jak mogą znaleźć czytelników!...

— Mamo, idzie tu o nowego rodzaju pasy,

mówi córka. Ale czyż to mężczyźni noszą paski... Sądziłam że tylko kobiety noszą je na sukni. Cóż to więc za pasy? gdzie je mężczyźni noszą?... Kupi mi mama jeden którybym w niedziele idąc na spacer włożyła?

— Ah! nie moje kochane dziecko, to się garbatych dotyczy; aby ich wyprostować.

— Tak, mówi babka, długom to nosiła, dobrze mi z tym było, równieży gateczki.

— Ależ babka nie byłaś garbatą?

— Moje dziecko dość uwag.... Czytaj nam co innego... rzecze mama, która zaczyna żałować że dała córce gazetę.

Mała dalej czyta.

— Artrytyzm, słabości skórne i chroniczne wypływające z.... które mama słuchać więcej nie chce; bierze gazetę z rąk córki, drze na kawałki wołając:

— Tego już dość moje dziecko; odtąd przysięgam że więcej gazet czytać nie będziesz.

— Dla czegoż mamó! woła córka. Ogłoszenie to bardzo musi być ładne.... Pewnie to będą mężczyźni którzy robią damom prezenta.... niechce mama abym skończyła?

— Wiem co to jest mówi babka kręcąc głową: przynajmniej miałam dwanaście.... Wtedy było to w modzie.... Futrem je wtedy okrywano od spodu do wierzchu.

Wszystko to jest prawdziwie, wyliczamy tylko co znajdujemy teraz od początku do końca w większej części gazet Paryżkich. Nie pozwolono by młodej osobie spoglądać na mury gdyby podobne na nich były rzeczy... a umieszczają je w gazetach które idą do salonów i wewnątrz rodzinnego grona.

Osoby które to wszystko co dziennie czytają bez najmniejszej odrazy, zakrywają sobie twarze albo na głos krzyczą, gdy autor użyje w swych romansach jakiego wyrażenia komicznego, które Molier obwicie rozsiewał w swych pismach.

Nazwaliby bezecnością gdyby spostrzegli na afiszu drugi tytuł *Sganarelle*.

W Paryżu, gnieździe gabinetów czytelnych możesz za cztery sous, zająć się od ósmej rano do jedynastej wieczór. Ale przez ten przeciąg czasu nie podobnaby jeszcze przeczytać wszystkie gazety dziennie wychodzące.

W karach na które wskazano złych ludzi zapomniano umieścić, jednej któraby bardzo twardą była: to jest skazanie na wieczne czytanie gazet.

OGRÓD LUXEMBURGSKI.

STARY ten ogród często kształt zmieniał, stary ten pałac często zmieniał nazwisko. Nazywano go pałacem Luxemburskim, później pałacem Orleańskim, następnie pałacem Dyrektoryatu, Konsulatu, Senatu zachowawczego, wreszcie pałacem Izby Parów. Był przez pannę Montpensier i Xiężnę de Guis zamieszkałym, która Ludwikowi XIV go odstąpiła. Był mieszkaniem Księżny Brunswickiej i Orleańskiej. Ludwik XIV darował go swemu bratu. W 1793 r. zrobiono z niego więzienie. W 95 Dyrekto-

ryat w nim się umieścił; był następnie przez senat zastąpiony. Dzisiaj jest pałacem Izby Parów, ma być upiękaszonym, przerobionym; prace przez pierwszych malarzy naszych około niego rozpoczęte robią największy zaszczyt zdolnościom tych artystów. Luxemburskie muzeum obejmuje także przepyszne zbiory obrazów dawnych naszych panów i artystów społecznych.

Jeśli widok pałacu Luxemburskiego ma w sobie coś surowego, w ogrodzie także roztargnienia nie znajdziesz: jest obszerny, jednostajny; długie ma aleje, proste; wielkie place wśród których jest postument. Wszystko to piękne, poprawne, staranne, ale smutne.

Zdaje się, że osoby które po Luxemburgu przechadzają się, przynoszą tu również surowe wejrzenie, poważne i melancholичne myśli. Czyż to wpływ ogrodu, cyrkułu albo raczej zatrudnień jakim się większa część do niego uczęszczających oddaje, czyni smutném to miejsce?

Istotnie, jest to cyrkuł ludzi poważnych, naukowych, zastanawiających się; wielu sędziów, radców mieszkających w okolicach Luxemburgu. Z szkół prawa i medycyny, nie zbyt oddalonych, uczniowie przychodzą do tego ogrodu rozmyślać.

Widzisz w téj alei młodzieńca bladego ale

oczów żywych, chodząc robi on gesta, czasem mówi głośno i w ogniu, czasem z gniewem? Jest to adwokat początkujący któremu wreszcie dano sprawę do obrony. Poszedł przechadzać się po Luxemburgu aby obronę ułożył; może tu marzyć, uczyć się, wyuczyć na pamięć, powtarzać swobodnie, jakby był w pałacu; nic go nie męczy, nic mu nie przerywa.... Gdyby tyle czynił w ogrodzie Pałacu Królewskiego albo na bulwarach, patrzano by na niego jakby na ciekawość.

Daléj widzisz ucznia medycyny rozmyślającego w alei wprost obserwatorium, nad rozprawą którą układa aby się wydoktoryzować. Często przepędza tu godziny, śledząc w księgach i jedząc bułkę, śniadaniem jego będącą. Ale poprzestaje na małym tém pożywieniu, skromność towarzyszy nauce, z resztą przyszłość mu wynagrodzi. Przyszłość! zawsze tak świetna dla młodych doktorów lubiących swoje zatrudnienie sławę i ludzkość.

Spotykasz tu również starych żołnierzy, weteranów naszych armij których sąsiedztwo Val-de Grâce i Hôpitalu Inwalidów wprowadza często do ogrodu Luxemburskiego, przechodzą oni się zwolna na słońcu którego promienie ogrzewają ich ciało okryte szlachetnemi blizny.

Daléj nianki przechodzące się z dziećmi, z tém pokoleniem przyszłym, dla którego wszystkie okolice są urocze aby tylko na wolném znajdowało się powietrzu, z kolegami i niczém nie gnębione; trzy rzeczy które ludzie zawsze lubią, nawet przestawszy być dziećmi.

Nie sądź jednak aby Luxemburg nie mógł niekiedy przedstawiać weselszych obrazów i aby do niego jedynie dla nauki i rozmyślenia chodzono.

W ogrodzie tym zbierają się mianowicie bibosze, ci którym rodzice przysłali pensye, a którzy nie mogą się zdecydować na kursa dopóki mają worek pełny. Rano idą do Luxemburga ułożyć się jak dzień mają przepędzić.

— No i cóż dziś dobrego zrobimy panowie? nie grają nowéj sztuki,— nie masz kobiet do wygwizdania,— nie mamy z kim pożartować, nie mamy dłużników do wyszydzenia — ja dziś ostatniego zapłaciłem....

— Ah! sławny żartownisiu.

— Lepiej od ciebie stoję, nigdy długów nie robię.

— Doskonała brednia! gdyż ci nikt nie chce pożyczyć.

Podczas téj rozmowy młoda kobieta koło nich przechodzi; ubrana z elegancją, z pe-

wnym wdziękiem w poruszeniu kibici zachwycającą.

— Panowie! zawoła jeden z młodzieży, to jest Panna X... z Odeonu.

— Tak myślisz?

— Jestem pewny. Do widzenia, idę za nią.

— A to po co? nawet cię nie wysłucha, ma Duńskiego xięcia.

— Mniejsza, nikt o tém nie wie.

— Idziemy do kawiarni na bilard gdzie czekać cię będziemy, opowiesz nam rezultat.

Młodzieniec idzie za damą, postanowiwszy zrobić intrygę, koledzy zaś jego odchodzą paląc sigara.

Młode panienki często idące tańczyć do Chaumière, zwyczajnie uczęszczający na teatr Bobino, dają sobie również schadzki w ogrodzie Luxemburskim, którego aleje samotne powinny bardzo być wyszukiwanemi przez miłosne pary.

Widzisz tu powabną Gryzetkę, siedzi sama na kamiennéj ławce; zdaje się niecierpliwić ciągłym patrzeniem w aleję przechodzącą ze strony Odeonu.

Wreszcie młodzieniec nieco zaniedbanie ubrany, w czapce na głowie, sigarem w ustach i rękoma w szerokich kieszeniach u

spodni, przybliża się wesoło, poważnie, śmiało, i staje przed Gryzetką mówiąc:

— Przychodzę zresztą na tę schadzkę!

— To bardzo grzecznie, od dwóch godzin czekam!

— Kochaneczko, policzysz to za wartę... twemu sierżantowi...

— Zawsze głupstwa... nie chcę tak długo czekać...

— Cóż to znaczy, gniewasz się!... Fifine robisz mi przykość!... bez ciebie pójdę do Chaumiere.

— Chciałabym widzieć... Niegodziwcze! Nienawidzę cię!...

— Idźmy więc! zaczynasz być grzeczną... Zobaczymy, weź moją rękę... bądź tyle szczęśliwą!

Gryzetka wiesza się na rękę studenta, tak oboje idą prawie tańcząc, gdy tym czasem dzieci krzyczą, ścigając piłkę; stary Inwalida oparty na kiju powoli idzie, Adwokat w uniesieniu się przechadza, powtarzając swą obronę, a studen odczytuje książki i bułkę pogryza.

PAN JEST ZAJĘTY.

MNÓSTWO jest osób w Paryżu które nie mają do roboty a chcą udawać zajętych; postępowanie to u bogatych możnaby nazwać próżnością.

Jeśli kto ma dwadzieścia tysięcy liwrów dochodu rocznego, pojmujesz że nie bardzo chce mu się nudzić, niewiedzieć co ma robić z sobą, cały dzień poziewać.

U tych którzy nie mają majątku, jest to wyrachowaniem, starają się wmówić że są obłożeni pracą, interesami, wizytami, wreszcie to jest sposób bardzo używany aby pokazać się w znaczeniu.

Idziesz do kommisanta którego wcale nie znasz, ale którego ci zalecono jako zdolnego, wziętego w Paryżu; wziętość uchodzi prawie za zasługę.

Kommissant niemający w tej chwili żadnego zatrudnienia, ale chcący udać że jest niemi zawalony; sam siedzi w gabinecie przy biurku.... drzymiąc przed gazetą i bawiąc się scyzorykiem którym wycina figurki.

W tym dzwonią: ale sługa ma rozkaz nieprzyjmowania:

— Pan X.... czy tu mieszka?

— Tu, ale jest zajęty.

— Ah! chciałem z nim o interesie pomóc.... poradzić się.

— Zechciej Pan wejść i zaczekać w salonie!

— Wchodzisz więc do salonu, proszą go siedzieć i zostawiają samego.

Trzy kwadranse, godzina upływa, w którym to czasie gospodarz ciągle jest zajęty kołysząc się na krześle z swoim scyzorykiem.

Osoba czekająca zaczyna się nudzić; kaszle, pluje, w nadziei że kto przyjdzie.... Wreszcie przychodzi służąca która zapomniała miotełki. Czekający zatzymuje służkę mówiąc:

— Czyż Pan X.... długo będzie jeszcze zajęty?... mam kilka interesów.... gdybyś mogła powiedzieć mu....

— Dobrze Panie.

Sługa idzie do Pana swego i mówi uśmiechając się:

— Jegomość który od godziny przyszedł zaczyna się nudzić:

— Cieszy mnie to mocno!... Jakiegoż to rodzaju ten jegomość? czy był tu kiedy?

— Nie Panie.... nie znam go... zdaje się że z prowincyi przybywa.

— Zatem dziś mnie nie zobaczy, inną razą niech przyjdzie. Powiedz mu że zbyt jestem zajęty abym mógł z nim mówić, przepraszam go i proszę na jutro.

Sługa wraca do salonu i wypełnia polecenie. Ten który całą godzinę czekał, zbyt mu przykro, woła:

— Jak to! nie będę widział Pana dzisiaj?

— Oh! nie mój Panie... nie można... zbyt Pan mój jest zajęty....

— To źle!...

Odchodzi mówiąc: «jutro więc!» i tłumaczy sobie że człowiek który zawsze tak jest zajęty musi mieć niezmierne zasługi i zdolności.

Inną razą młodzieniec nowo zaślubiony któremu żona słaba, udaje się do doktora którego mu wskazano.

Doktor który nie mógł jeszcze zjednać sobie klientów, zamknięty w gabinecie, je skromne śniadnie. Sługa puka do drzwi. Doktor woła nie otwierając:

— Kto tam?

— Ja Panie.

— Czegoż chcesz?

— Jegomość chce z Panem mówić, żona mu chora.

— Powiedz; że mam wielkie konsylium, niech chwilę zaczeka.

Sługa idzie do gościa i mówi:

— Pan ma wielkie konsylium.... prosi Pana aby się zatrzymał.

— Ah Boże.... moja żona jest cierpiąca.

— Niech Pan siądzie.

— Nie wiesz jak długo trzeba czekać?

— Ba... czasem to i długo!

— Czyż wielu ma u siebie kolegów?

— Ba.... pełno ich w pokoju.

Więc czekam.... ale nikogo przedemną nie wpuszczaj, bardzo cię proszę.

— Bądź Pan spokojny!

Istotnie zupełnie może być spokojny, gdyż sam tylko czeka. Po półgodzinném czekaniu które zdaje się wieczném, sługa przychodzi mówiąc: Możesz Pan wejść.

Sądysz że doktor mógł się przygotować. Przeciwnie dopiero kończy się ubierać; wiąże szyję; idzie i wraca do gabinetu, wśród

tego ciągłego ruchu zdaje się zaledwie mieć czas odpowiedzieć przybywającemu, który mówi:

— Przyszedłem prosić Pana abys poszedł do méj żony....

— Ach przepraszam Pana, po tysiąc razy przepraszam.... długoś Pan czekał ale ja zawsze tak zajęty....

— Żona od wczoraj jest słabą....

— Bardzo dobrze.... bardzo dobrze.... nigdy nie mam czasu się ubrać.... zjeść.... to okropne....

— Czy Pan pójdziesz zemną?... —

— Teraz nie podobna... na żaden sposób!.. Czekają na mnie... już powinienem być... u hrabiny de Flaqueville, potem na konsylium u anglika para Anglii.

— Ależ Panie, żona moja cały bok ma zapalony....

— Dobrze.... bardzo dobrze to nic nie będzie.... zobaczę ją.... zostaw mi Pan swój adres, za godzinę przyjdę...-ale teraz niepodobna.

— Za godzinę.... ale czyż to Pan przyrzekasz?

— Niezawodnie ... zapiszę Pana na mój registr... dziś rano dziewiętnaście mam wizyt; daję panu nuwer trzeci.

Młodzieniec zostawia adres i odchodzi, przekonany że Doktor tyle trudny aby mieć

go można, wszystkie tajniki medycyny zna zgruntu; prosi żonę aby cierpliwą była, a doktor nasz dalej je swe śniadanie.

Wejdźmy teraz do pysznego hotelu. Jegomość sześćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu i tyleż lat mający, ogłosił się protektorem artystów, mówił do każdego z nich w którym widział cokolwiek zdolności: Przyjdź do mnie... pomówiemy z sobą, ja ci dopomogę!

— Artysta przychodzi do jegomości tego z zaufaniem, ale służący zaraz przy otwarciu drzwi mówi:

— Pan jest zajęty.

— O do diabła!... sam mię prosił... zamelduj, pewny jestem że przyjmie.

Czasem służący rezykuje się wykonać posłannictwo. Idzie do swego Pana którymocno na sofie spi, na hałas służącego budzi się i woła z gniewem:

— Cóż się to stało?... nie wołałem cię... pocóżś przyszedł?

— Młody artysta mówi, żeś go pan zaprosił.

— Niechże sobie idzie.... bawić się.... To dla tego mnie budzisz, ośle! powiedz mu żem zajęty, bardzo zajęty.... na inny raz go proszę.

U Lwów, dandych naszych, podobną odpowiedź łatwo dostać; jeden nie chce mieć

przeszkody w obcinaniu paznokci, albo wyszukiwaniu nowego sposobu zawiązywania krawatu. Inny chce dać do poznania że ma u siebie kogoś.... wtedy do przybyłego, mówi kamerdyner tajemniczo:

— Panu memu bardzo przykro..... ale niepodobna mu przyjąć Pana, jest.... zbyt zajęty....

— Jak to? mnie?... swego przyjaciela!...

— Mój Boże gdybyś Pan był.... nawet jego krawcem, nie mógłbyś z nim się widzieć w tej chwili.

— Tak a.... jest więc bardzo zajęty....

— Tak, tak Panie!

— Śmiejesz się, oh! odgaduję, wiem.... twój Pan jest w towarzystwie przyjemnej osoby!... z jaką ładną, która sam na sam z nim widzieć się chciała! uwodziciel! birbant!... nie prawda żem odgadł.... he?

— Ba.... niezawodnie, mój Pan nie ma o-choty opuścić tego co trzyma....

— Dość! dość!... rozumiem.... odchodzę... Nie można mu przeszkadzać. Poczém oddała się mówiąc:

— Szczęśliwys śmiertelniku, chciałbym tak, jak on jest, być zajęтым.

Atoli wiecie co robi Lew niewpuszczający nikogo do siebie?... trzyma w ręku naczynie które tyle zrobiło kłopotu P. de *Pourceaugnac*.

BURZA.

CIEKAWY, jest rzut oka w Paryżu, w dzień pogodny lata, gdy mieszkańcy wielkiego miasta spacerują, widzieć zamieszanie, między niemi, spowodowane burzą nagle spacerujących, włóczęgów i przechodzących nadpadającą.

Damy myślą o kapeluszach które już na nic się nie przydadzą; śledzą oczyma kąta, drzwi, bramy, schronienia.... Biegną... Trzeba widzieć jak niezbyt zręcznie podkasują się i przeskakują rynsztoki.

W podobnym razie nie wiele je obchodzi czyli pokażą co jest pod spudnicą, kolana, podwiązki.... Dla amatorów nówek, burza jest wypadkiem szczęśliwym; rozkosznym rzeczom napatrzeć się można.

Mężczyźni których tualeta jest świeżą, kapelusz nowy nie troszczą się wcale, biegną z jednej strony, damy z drugiej; dzieci toż samo czynią, ale to ich bawi; mieszkańcy wielkiego miasta, mają wtedy minę ubiegających się do mety o nagrodę.

Bramy otwarte tak są napchane, że pierwsi, którzy w nie weszli, muszą się cofać i stać na deszczu w podwórzu. Ostatni przybyli również są na deszczu z ulicy, a wszyscy mają przyjemność stać na przewiewie bardzo niebezpiecznym dla tych którzy szli prędko.

Nieprzyjemności podobne nie przeszkadzają tym, którzy schronienie znaleźli śmiać się i szydzić z tych których deszcz zalewa, i którzy dążąc do nich nie mogą rynsztoku przeskoczyć, przemienionego w jezioro.

Widzisz tam mieszczanina który wyjął chustkę do nosa z kieszeni okrył nią kapelusz, z obawy żeby nie zleciała obydwoma rękami trzyma jej końce. W minutę chustka zupełnie jest zlane; to mniejsza, jegośmość uważa ją za parasol.

Widzisz niektóre damy dla zabezpie-

czenia głowy odkrywające inną część ciała. Biegną schowane w suknie które głowę przykryły. Jest to obraz Pawła i Virginii; ale urzeczywistniony.

W tej chwili dostrzegacz, może użyteczne robić uwagi nad niebezpieczeństwem ufania powierzchowności.

Dama mająca bardzo wikwitną jedwabną suknię pokazała brudną spodnicę.

Ta na głowie kwiaty i koronki nosząca, ma połataną spodnicę i dziurawę pończochy..

«Vanitas vanitatis, et omnia vanitas.»

W tej to chwili omnibussy biegną i są poszukiwane. Skoro ich przechodzący zdaleka dostrzegą, kiwają, wołają na nie... przed chwilą pogardzone, gdyż pogoda była zupełna, są teraz napchane.... miejsce najgorsze jest zajęte.... Tablica wywieszona, można czytać: *Complet, wszystkie miejsca zajęte* mimo to są którzy biegną za omnibusem i na konduktorów wołają.

Ah! jakżesz szczęśliwy który uzbroił się w parasol; kto sobie powiedział: Zbyt jest dziś gorąco, będziem mieli burzę.

Pojmujesz że jego parasol stał się chustką od nosa którą może cisnąć odaliskom nagłą zdziwionym burzą: ma tylko trudność w wyborze.

Wtedy mężczyzna udzielający połowę parasola damie zawsze dobrze jest przyje-

ty, choćby był najszkaradniejszym, źle zbudowanym; garbatym lub kulawym.

Rozumiesz wszystkie korzyści które ta sposobność nasuwa; można być uprzedzającym, galantem, pod parasolem.... W Paryżu burze wielu awanturom dały początek.

Ale w ogóle młodzież nie myśli o wzięciu z sobą parasolu; ludzie dojrzeli, uwodziciele zwykle się w nie zabezpieczają. Gdy przyjdzie wiek w którym osobą podobać się można, nie jest zabronioném, podobać się przynajmniej.... parasolem.

SMOŁOWIEC.

PŁYN czarny nie palny przez wulkany wyrzucony, stał się ziemią naszą zwyczajną. Paryżanie którzy dawniej podróżowali z Neapolu ku Wezuwiuszowi aby widzieć wybuch jego, dziś depcą nogami materię, na którą dawniej z bojaźnią i szacukiem patrzeli; przechadzając się po bulwarach, mogą widzieć smołę nie w kraterach, ale w wielkim tyglu żelaznym postawionym na ognisku, na którym indywidua bardzo czarne utrzymują wielki ogień, płyn wydaje dym gęsty i odór nieprzyjemny.

Uliczniki, włóczęgi, zawsze stają naokoło tego ognia, słyszysz tam uwagi, rozmowy malujące charakter i usposobienie narodu.

— Co to, co to za szkaradny frykas, tak brzydki odór mający, w tym tyglu?... mówi przybyły z prowincyi.

— To jest mój Panie bruk, gotują go i wyłożą nim bulwar, któryby się bez niego obzedł?... Zapytaj mnie Pan czy spacer nie był dogodniejszy kiedy chodzono po ziemi jak w ogrodzie, kiedy deszcz padał!... prawda że było trochę błota.... ale przynajmniej chodzono po ziemi.

— Jak to? będą brukować tym czarnym płynem, który się dymi?... niepodobna!...

— Ręczę Panu, że tym oblewać będą bulwary, jak chleb konfiturami.... a potem chodzić będą jak po froterowanej posadzce.

— Ależ! popalą sobie nogi....

— Ah nie mówię że ciągle, tak jak teraz będzie gorące. To ochłodnie, wysychając. Ale to tak ślizkie jak szkło... bardzo ślizkie.... w zimie nie będzie można ustać.... a bardzo niebezpiecznie jest obalić się szczególnie kobietom!.. pojmujesz pan!... Mężczyźni bo jeszcze mają spodnie.... ale my.... to co innego!...

— Ha! ha! frykasy!... krzyczy ulicznik biegnąc przy piecyku. Co to to! co to to!

czy to do jedzenia?... Mam chrapkę chleba w tém mój umaczać, spróbować czynie zle-

— Oh! nie zbliżaj się! zawołała stara kobieta; ogieńbyś polknął.

— To szkoda! to tak jak rodzynki.

— Co za niedorzeczny wynalazek! zawoła ogromny mężczyzna w okularach, to nie nie warto, to nie będzie trwałe!... to roztopi się na słońcu.

— Ja zupełnie co innego chciałem, to jest ołowiem!

— Jakto ołowiem? nie rozumiem!

— Nierozumiesz pan? cały bulwar wyłożyć ołowiem.....

— To byłoby zbyt kosztowne!

— Ale nie, cienko.... Jak to obwijają czekoladę.... lubulę.... bardzo pięknie i jasno.

— Ja, mówi mały człowiek, przełożyłbym cynk... Trzebaby wszystkie przejścia publiczne ocynkować.... Nic nie ma lepszego nad cynk; za kilka lat ręczę ci że wszystkie domy z cynku będą budowane to lżejsze jak cegła.

— A dla czego by nie mieli, mówi kto inny, bulwarów polać jak polewają rądle.... Jestem za cyną.

— Słusznie! mówi młodzieniec, przynajmniej by bulwary nie rdzewiały.

Starzec z łaską w rękę którą o ziemię u-

derza, mówi z kolei, zatrzymując się co wyraz.

«Oh! gdyby mnie się radzono.... byłbym «coś lepszego wynalazł!... wtedy... zupełnie «łatwém to było.... myślałem nad tym.... był «bym coś lepszego wynalazł....»

Ponieważ staruszek nie mówi co wynalazł, tłum go opuszcza.

Mimo wszystkiego co mówiono, smołowiec okrył bulwary, które stały się czystymi i wygodnymi jak trotoary; nie tyle nawet może co te śliskimi, ale taki jest los wszystkich ulepszeń, że muszą mieć przeciwników.

ARTYŚCI.

PEŁNO jest ludzi w Paryżu nazywających się artystami, aby przecież czémś byli i ukryć mogli że niczém są w istocie.

Niektórzy istotnie uważają się za artystów, gdyż mają chęć być niemijak gdyby chęć mogła za samą rzecz być przyjęta.

W Paryżu skoro kto byle co robi, choćby téż najmniejszą zajmuje się sztuką, zaraz mianuje się artystą, wywiesza szyld przed swym magazynem.... z ogromnym napisem.

Dla tego téż w wielkim mieście są artyści krawcy, artyści fryzyery, artyści malarze szyldów; artyści obuwia. Następnie idą arty-

ści posługacze publiczni (czyszczący suknie i obuwie na ulicach) artyści robiący portrety z papieru nożyczkami, artyści grający po ulicach na klarnetach, artyści tańczący, śpiewający bez końca.. A wszyscy ci ludzie zowią się artystami. Często w rogu ulicy człowiek obdarty, przybliża się do ciebie i szepcze do ucha:

— Zechciej Pan wesprzeć biednego artystę bez zatrudnienia.... nieszczęściem ściganego... który bardzo będzie wdzięczny.

Macając się po kieszeni, mówisz do tego człowieka.

— Jesteś pan artystą.... a w jakim rodzaju?

— Wiele napisał dzieł do teatrów ale w skutek intryg nie zostały przyjęte.

Nie wchodzisz głębiej, zostawiasz artystę dawszy mu jałmużnę.

Inną razą staje przed tobą jegomość tytułujący się artystą malarzem; projektuje ci zrobienie portretu w ciągu godziny za umiarkowaną cenę (dziesięciu franków) zapewne że cię trafi; zrobi cię oljnymi albo wodnymi farbami, jak zechcesz; co do niego spostrzegasz że już pił wino.

Nie potrzebujesz portretu, ale jegomość ten mówi że ma rodzinę, wiele dzieci a mało dla nich chleba. Nieszczęśliwi to ludzie w Paryżu, którzy mało mają chleba a zaw-

sze wiele dzieci. Rozczulasz się; prosisz artysty aby pokazał jaki portret; ale nie mając ich nigdy przy sobie, ma zawsze wymówki na pogotowiu.

Pozwalasz się odmalować; artysta bierze się do dzieła; prosi cię o godzinę czasu, upływa cztery; niecierpliwisz cię, patrzysz na obraz, spostrzegasz xiężyc, w pośród którego ten malarz, który pierwszych zasad rysunków linearnych nie zna, usiłuje zrobić oczy, nos, nie wiedząc jak wziąć się do tego. Dajesz artyście dziesięć franków, mówiąc mu że dłużej nie wytrzymasz; on cię zapewnia że zupełnie byłbyś trafiony; ale wypraszasz go aby się wraz z portretem oddalił, spokojny że nie będziesz poznany.

Często jeszcze wchodzi do ciebie człowiek rozmamany; w wielu miejscach ma spodnie rozdarte, surdut dziurawy, polatany, bez guzików, wszystko to nie wstrzymuje go mówić ci, z tonem pewnej pretensyi:

Jestem zwolennikiem sztuk, artystą z usposobienia, profesorem z potrzeby.... uczę wielu przedmiotów... łaciny, greckiego, pisma świętego, filozofii.... retoryki... Masz Pan dzieci, wszystkiego tego mógłbym ich uczyć.

Przypominasz sobie podobną już anegdotę i spieszysz się dać artyście 5 franków na spodnie: aby nie był zmuszony pokazywać jeszcze co innego swym uczniom.

Między prawdziwemi artystami jest wielu w Paryżu którzy ubiegają się za fryzurą, za postawą oryginalną; jest to słabość którą można wybaczyć talentowi. Ale w ogóle największe talenta nie chcą się powierzchownością odznaczać.

Zresztą nikt od artysty swobodniejszym nie jest w Paryżu: robi co mu się spodoba, ubiera jak mu się zdaje, pracuje kiedy chce, włóczy się podług woli: proszony na obiad późno przychodzi, na schadzce czekać na siebie każe; w zgromadzeniu, mówi co mu do głowy przyjdzie. Przebaczą mu wszystko ze względu że ma talent.

Niektórzy tego nadużywają. Jeden da ci dziesięć schadzek, a na żadną nie przyjdzie; drugi powie że jest słabym aby cię nie przyjąć.

Ten pokazuje obójście i ton wielkiego Pana, jakby nie znano jego pochodzenia, tamten twierdzi że jest odnowicielem, purytanem; na ulicy nie ukloni się człowiekowi któremu nie poszło szczęśliwie.

W Paryżu artyści malarze, wielkie mający pracownie, przyjmują w nich wielu innych artystów każdego rodzaju.

Nic nie ma okazalszego nad podobne zebranie: widzisz tam kompozytorów słuchających opowiadania malarza; poetę piszącego wiersze, które w nim wzbudziło piękne

dzieło lub obraz rzeźbiarza; grających w imperjała z drugim artystą; młodego ucznia mającego przerobić wzór, i w tym celu zawijającego rękawy sukni którą zdjął z siebie. Z téj strony młody student nowéj szkoły ubiera się w wielki szal obwijając głowę serwetą, przebiera się w turka; potem siadłszy z założonemi na krzyż nogami, pali ogromną fajkę, puszczając dym nosem.

Daléj aktor pierwszego teatru tańczy z sławnym skrzypkiem, gdy tymczasem młody komik z innego teatru zdaje się im towarzyszyć trzymając w ustach kawałek pieczeni a ręce mając na lasce oparte jakby grał na klawecie

Rzeźbiarz śpiewa nowy komplet. Litograf trąbi w róg jak gdyby był na polowaniu; autor wodewilu różuje się, czerni śpiewając wyjątki z opery; gdy tymczasem dwóch uczniów z konserwatorium powtarzają miłośny duet. Tu deklamują, rysują, daléj tańczą, mustrują się, opowiadają historyjki, nowiny; wszędzie pełno śmiechu, radości, żartów, głupstw, dowcipów, a zawsze zupełna swoboda.

Oto masz wewnątrz prawdziwego artysty w Paryżu gdyż zawsze takim jest jaką jego pracownia.

GRYZETKI W TEATRZE.

GRYZETKI Paryża uwielbiają teatru i aktorów również miłe mają uczucie dla autorów, gdyż oni tworzą sztuki które przedstawiają w teatrze.

Dla panienek tych aktor jest bożkiem, autor półbożkiem, tancerz czwartą częścią, bożka; dekoratorzy, muzycy, maszyniści, kontrolerowie, lampucery, suflery i stróże teatralni równie mają część boskości.

Z biletem do teatru prędko jest się w łaskach u gryzetki, mianowicie jeśli to jest bilet płatny; aktorowie nie potrzebują dawać

biletu aby ująć dla siebie jedną z tych Pannienek, od chwili jak wéjdą na scenę zaczęną grać role, ubierą się, przedstawia kochanka, zdrajcę, pana pasterza albo komika serce gryzetki ulatuje ku nim Szczęśliwy śmiertelnik, którego raz widziała w Hiszpańskim, drugi raz w Tureckim, inny w Polskim stroju; gdyż będąc kochanką aktora wystawia sobie że jest metresą Polaka, Turka lub Hiszpana... a to tak miło kochać osobę która nie zawsze jest tąż samą!.... Z téj też strony podobnie jak gryzetki myślemy: *in varietate voluptas*.

Na przechadzce, na ulicy, bulwarach, w jakim bądź zresztą miejscu jest gryzetka, jeśli koło niej przejdzie aktor twarz jéj ożywia się, oczy błyszczą ogniem rokoszy, jeśli samą jest, zatrzyma się i wiele razy obejrzy za artystą, aby mu dać do zrozumienia że go poznała; jeśli idzie z przyjaciółką, uderzy ją w bok mówiąc tak aby aktor słyszał:

— Patrz! oto ten Pan co tak pięknie grał... w ostatniój dramie na której byłyśmy w teatrze Gaité, gdzieśmy tak płakały... był komikiem starym, on tak młody... jakże to dziwne.... jak on dobrze udaje.

— Ale to może nie on moja kochana odpowiada przyjaciółka głosem rokosznym.

— Oh!... pewną jestem... poznałam go.... ma nogę kobiecą, to mnie uderzyło.

Aktor do którego wszystko to się ściąga nie może wstrzymać się od śmiechu jeśli gryzetki są ładne, niekiedy wchodzi z niemi w rozmowę, te są uradowane że mówią z aktorem; znajomość wkrótce się zawiara.

W ogóle gryzetki uwielbiają dramy, sztuki w których wielkie uczucie się doznaje. W *Ambigu*, w *Gaite*, w *Folies-Dramatiques* w *Cirque*, gdzie kobiety mogą iść na parter, gryzetki przebiegają z parteru na drugą niektóre aż na trzecią galeryą, ale są to gryzetki ostatniej klasy, a raczej są to fałszywe gryzetki, nieszczęśliwe robotnice, ubrane w chusteczki na głowie; nie rozumiejąc nic w melodramie, gryzą one orzechy w chwilach najbardziej zajmujących. Gryzetki które się szanują nigdy na amfiteatr ani na paradys nie idą; zostawiają te miejsca ulicznikom, kramarzom, kupcom kontramarek, gwardyi municypalnej; ta znajdować się musi z urzędu swego na ostatnim amfiteatrze aby patrzeć z daleka na publiczność której jedną z głównych zabaw jest rzucać na łoże lub parter łupiny z orzechów, pestki z wiśni a szczególnie logryzki z jabłek; zdaje się, że owoc ten ostatni zawsze złe myśli w mieszkańcach paradysu pobudza.

Gryzetka idąc do teatru, nie je objadu albo go je na prędcie; przyjemność której

ma doznać odbiera jęj apetyt, a potém więc się posili w czasie entraktu.

Przychodzi wczesnie, chce widzieć wszystko, chce dobre zająć miejsce jeżeli idzie na drugą galeryę, chce siedzieć w pierwszym rzędzie. Jeśli przekłada parter, chce mieć miejsce wprost orkiestry; gdyż ztąd najbliżej aktorów widzieć będzie mogła, następnie że będzie się mogła oprzyć co bardzo jest wygodném mianowicie jeśli wéjdzie do teatru przed piątą a posiedzi do dwónastej.

Ale gryzetkarzadko idzie sama do teatru, musi mieć z sobą przyjaciółkę, któręjby udzieliła wzruszenia jakich dozna, z którąby mówiła o sztuce, aktorach i aktorkach; gdyby wypadło cały wieczór pozostać cicho, zadowolenie nie byłoby zupełném, dlatego też gryzetki prawie zawsze idą do teatru najmniej po cztery, pięć, sześć a czasem i więcej. Przebiegają schody z niezrównaną szybkością; słyszysz je nim ujrzysz. Przybywają na drugą galeryę; gdy jedna oddaje bilety lożmajstrowi, inne już są wewnątrz, przeskakują ławki, wołając:

— Patrz, tutaj siądźmy.... — Nie, nie, Dedelko; niżej lepiej nam będzie. — Ah! panny dla czegoż wprost sceny nie usiąść, jest miejsce. Nie, — światło uderza, lepiej siąść z boku. — Ah! głupstwo, nie prawda Ludwisiu, nie może

światło zrobić złego... Mówię ci że tu nam dobrze będzie.

Wreszcie siadły naprzód zboku ale wkrótce galerya napelniona, przychodzą ludzie siadają za gryzetskami, następnie jeszcze dalej na ławkach. Aby widzieć dobrze siedząc zboku nie w pierwszej ławce, trzeba się koniecznie naprzód wychylić.

Na trzeciej galeryi i na paradysie zwykle kładą pewien rodzaj żelaznego pręta który pozwala dalej siedzącym opierać się, tak więc, ostatnio przybyli, w trzeciej siedzący ławce nie trudzą się, ani drugich, opierając się... na pręcie żelaznym. Ciekawy to rzut oka widzieć wszystkich skupionych, zebranych z pomiędzy rąk wychodzą głowy, drudzy cisną się między nogi, a przeraźliwie przechodzi uczucie myśląc że gdyby się pręt złamał, wszyscy spadliby na parter.

Ale na drugiej galeryi, ponieważ niema prętu, osoby które siedzą z tyłu, wstają i wychylają się na przód, a gryzетки prawie ciągle prowadzą z sąsiadami kłutnię.

— Proszę pana, przykrość mi robisz, opieraż się na mnie.... nie występujesz tak bardzo.

— Ale moja Panno ja nie widzę.

— Cóż mi do tego....

— Zapłaciłem aby widzieć.

— Trzeba było tak jak my zrobiły wcześniej przyjść, siąść na przodzie...

— Czyż pani nieprzestanie opierać się na mnie? dusisz mnie; czepek mi gnieciesz!....

— Ach! mój Boże! wiele robisz przykrości z swym czepek za pietnaście sous!...

— Ah! powiedz żesz Virginio, słyszysz Panią Rogotin, mówi że mam czepek za piętnaście sous!

— Zupełnie jój do twarzy, z kapeluszem zielonym.... wstążki te... i futerko przy kołnierzu u sukni... Ha! ha! zupełnie podobna do naszej kotki.

— Jakto brzydko!... jeśli Panny milczeć nie będziecie, poszukam kommissarza.

— A więc idź do niego... zobaczymy czy masz Pani prawo tak się na nas opierać.

— Powiedz że Georciu, widzisz jak ten stary jegomość na mnie się oparł i na głowę mą płacze, jak to zabawne.

— Czyż ten stary chustki nie ma.

— Czasem do teatru przychodzą głupcy!...

— Tem bardziej że on płacze nosem... muszę zmienić miejsce.

— Dziękuję, wyjdę.

Osoby których rozmowy te niecierpliwą krzyczą ciągle: Cicho!.. spokojność panny!.. przeszkadzacie widowisku.

— Co to znaczy? co on mówi?...

— My widowisku przeszkadzamy... Niech on pierwój cicho będzie.

— Dokuczają nam, a my nie miałybyśmy nic mówić, byłoby to zbyt dziwne!... Patrz to jakiś ładny chłopiec poznam go!... Zamówię go do walca.

— Ach głodnam, a ty Georciu?

— Pić mi się chce, wypilałabym co chętnie., napiłabym się limoniady:

— Ja poncz bym wołała:

— Byłam ostatnią razą z kuzynem tokarzem.... który zapuścił wąsy.... błąd, rude... co mu wcale nie do twarzy.... nawet radziłam aby je czarno ufarbował, gdyż znam młodzież która tak robiła i bardzo jej jest z tem dobrze.

— Skończyłaś.... Jak zacznie co o kuzynie to skończyć niemoże. Co to nas obcodzi czy ma żółte lub czerwone wąsy?... Nie chciałam pójść za mężczyznę który miał niebieskie faworyty... Bałam się go....

— Panny, raz bądźcie cicho, nie słyhać!...

— Słyszysz, to głupi.... tańczą *Caczuczę* czyż Pan ten chce słyścić sztukanie? Ah! jaki otyły, musi być rzeźnik.... nie może się obéjść bez kielbas!

— Co do mego kuzyna, zaprowadził mnie do kawiarni, częstował czémś cukrowym na białym winie.... to zimne ale bar-

dzo dobre... z cytryną w talarki pokraja-
ną.

— Wiem co to jest.... piłam wiele razy...
jest to napój niemiecki. — To grok? — Nie grok,
to angielski, a mówię ci że to niemiecki bi-
szop.. — Tak tak!... To ty umiesz po niemiecku
Adryano.. — Umiem wyrazy biszkópt i kapu-
sta surowa. — A więc pójdziem moje panny
wczasie entraktu na piwo. — Tak, tak kupiem
też placków, i ciastek śmietankowych. — Ah!
ja znalazłam pasztetnika który daje za dwa
sou większy placek jak inni. Zaprowadzę
was.

Zaledwie akt się skończył, gryzetki wsta-
ją, rozpychają wszystkich na drodze się znaj-
dujących, wychodzą aby się posilić i na ku-
pić żywności.

Często wracają gdy akt się już zaczął;
wtedy pchają się, cisną. Mniejsza dla nich
czy po nogach, trzewikach, chodzić będą, czy
przeszkadzają patrzącym, idzie im oto by
się dostać na miejsca; wreszcie przybywają
z ciastkami w ręku. Siadają, słuchają i jedzą;
gdy sztuka jest czułą, gryzetka mówi do dru-
giej:

— Pożycz mi chustki... mam ciastka w
mojej: — Masz, ale niewycieraj nosa w rogi.

— Jakżeś dziwna.... to do obtarcia o-
czów.... zresztą nie zażywam tabaki:

Po skończonym akcie sądzisz że się panny te uspokoiły; nie, jeszcze wychodzą; za każdym wychodzą entraktem; napiwszy się potrzebują co innego.... a nie są pannami któreby się żenować miały.

Gryzetki idące na parter są skromniejsze, nawet czasem chcą pokazywać kobiety przyzwoite. Siadają przy orkiestrze gdyż lepiej jest tu niż w środku i przy wjeściu na parter; zdaleka gdzie nie widać przedziału, zdaje się że są w orkiestrze. Wczasie entraktów, ponieważmnień ztąd jak z drugiej galeryi wychodzą, zawsze patrzą na wejście do orkiestry, gdyż tu widać aktorów autorów, dziennikarzy; gdy te osoby które należą do teatru przechodzą po sali, nigdy nie siadają, ale przez kilka chwil ku wejściu głowę obracają, patrzą na scenę, ciskają wzrokiem w loże, galerie, orkiestrę, witają się ze znajomemi, i tak prędko wyjdą jak weszli, są to ptaki przechodnie które łapać w locie należy, dla tego też gryzetki śledzą ich ciągle i pierwsze spostrzegają.

Gdy aktor zjawi się przy wejściu do orkiestry, gryzetka, która nieustannie nasce-nę patrzyła, spostrzega go natychmiast i to jej wiele czyni roztargnienia: spogląda na aktora tak, że jeśli ten przypadkiem rzuci okiem w tę stronę, nie podobna, aby jej nie

ujrzał, potem zaraz gryzetka mówi do swój przyjaciółki.

— Widzisz X.... na lewo przy wejściu do orkiestry.... widzisz przechyla się... ma orzechowy surdut....

— Tak! tak! poznaję go... rozmawia z wysokim brónetem którego tu często widuję. Co to za jeden?

— Dziennikarz lub autor.... zawsze lornetkę ma w ręku....

— Ah! moje życie musi być krótko widzem. Miałam kochanka który wieczorem na ulicy brał ludzi za konie, a kobiety za słupy; pogniewałam się z nim gdyż raz wieczór wywrócił dwie stare kobiety sądząc że przeskakuje kamienną ławkę: powiedziałam sobie: Niezawodnie i zemną kiedyś tak postąpi.

— Ah! oto X.... na nas patrzy...

— Uśmiecha się....

— Tak myślisz?

— Tak... do mnie się uśmiechnął.

— Do ciebie!... nie prawda!... do mnie.

— Dla czegoż do ciebie? a nie do mnie!...

Zadziwiająca jest ta Alphonsina! myśli że tylko na nią mężczyźni patrzą: każdy ma swą dobrą stronę, czy nie wiesz o tem.

— Mój Boże! nic ci odmawiać nie myślę, tylko mówię że nie pierwszy raz X.... na mnie patrzy: znamnie dobrze.... raz podczas

wielkiego tłoku wprowadził mnie do teatru przez łóżę.

— To co innego.... Dajno pokój... musiał ci się dosyć napatrzeć, gdyż odszedł.

Rozmowa się skończyła, gryzetki słuchają sztuki, w entrakcie chłopiec wysuwa się z pod kurtyny i zaczyna obicie na scenie.

— Ach dekoracye będą z obiciami mówi gryzetka.... Bardzo lubię widowiska z obiciami, to w dobrym guście.... Dla tego też przekładam nad wszystko teatr Gimnazyum.

— Ja wolę dekoracie przedstawiające łąki.... i sztuki Hiszpańskie... Oh! sztuki hiszpańskie!... Gdy mężczyźni noszą kapelusze okrągłe, i spodnie jedwabne, uważam to zawsze interesowniejszém.

Ale sztukę grają, gryzetki nadstawiają uszy, mianowicie jeśli nie pokaże się jaki aktor przy wejściu do orkiestry. Czasem robotnik w kaskiecie lub człowiek prosty siedzący przy nich zaczyna zniemi rozmowę, chce zawrzeć znajomość; ale one zle go przyjmują, często nie nie odpowiadają; aby pozyskać te panny, trzeba być artystą a przynajmniej nosić okrągły kapelusz i spodnie na podpinkach.

ŁOŻA AKTORKI.

AH ty, co nie jesteś ani dyrektorem, ani autorem, ani aktorem, ani muzykiem, ani akcyonaryuszem ani suflerem, ani lampucem;... i nie masz sposobu wejścia do teatru, gorąco, pragniesz aby z bliska widzieć aktorki.... choćbyś miał stracić iluzję co bardzo łatwo nastąpić może.... Chodź, wprowadzę cię nie na teatr, ale do łóżki jednej z tych dam, to jest nie małym łaski dowodem.

Nie pójdziemy do teatru pierwszego rzędu, gdyż w większej części łóżki tych dam znajdziesz elegancję, zbytki, bogate kobier-

ce drzwi okrywające, meble najmodniejsze, pyszne lustra, sofyl, kanapyl, lampyl; potóm wykwiutne towarzystwo, literatów gazeciarzyl, w każdym rodzaju, którzy otaczają aktorkę przez publiczność oklaskami obsypywaną. Sądziłbyś się tu jakby w salonie Chaussée d'Antin, i to nicby uderzającym w oczach twych nie było.

Wejdziiemy więc do teatru drugiego rzędu; mniej jest elegancki nie tyle bogaty, ale oryginalniejszy. Nie dla tego aby w teatrach drugiego rzędu, aktorki nie miały łoż ozdobnych.... owszem niektóre mogą uganianć się o zbytki i sławę łoż pierwszych teatrów; nic to nie zadziwia, gdyż często jedna osoba obie ozdobiła: ale dla tego mówię że jest oryginalniejszy.

Weźmy pod rozbiór łożę aktorki która nie jest przedmiotem codziennych rozpraw czytających gazety.

Właścicielka łożyl téj, gra w drugiej sztuce, przybywa w chwili w której rozpoczynają pierwszą. Niema zbyt wiele czasu, gdyż musi się fryzować.

Wchodzi w małe drzwiczki które zwykle od tyłu teatru są umieszczone. Przechodząc koło szwajcara, staje, nachyla głowę i mówi. «nic nie ma do mnie?» Gdyż wiele dam tych oczekuje zawsze czegoś, nawet gdy mają wszystko, czego im potrzeba. Gdy

odpowiedź jest przeciwna, twarz aktorki lekko się zmarszczy, gdyż jest bardzo po-
chlebném otrzymywać oświadczenia miło-
ści i bilety słodkie, wtedy nawet gdy nie
ma się zamiaru odpowiadać na nie! ale po-
kazuje je towarzyszkom, rywalkom, któ-
rych gniew i zazdrość przyjemne sprawia
wnieję uczucie.

Aktorka przebiegła schody; wchodzi na
kurytarz łoż damskich które powszechnie
są oddzielone od męzkich: co dowodzi że
przyzwoitość wsuwa się wszędzie, nawet
wewnątrz teatru;... Jednakże w niektórych
teatrach obie płcie są zmieszane.

Aktorka przechodzi obok łoż swych ko-
leżanek, po większej części otwartych, gdyż
jedna przywołuje garderobianę, druga cze-
ka na fryzjera, ta prosi o róż sąsiadki,
gdy znów inna blansz jej przynosi.

Po kilku przywitaniach, kilku odwzaje-
mnionych słowach, aktorka wchodzi do
swój łoży: sama ją posiada, to jest już
czemsiś, gdyż wiele z dam tych mają we
dwie lub trzy jedną tylko łożę, co spowodza
częste nieprzyjemności i kłótnie. Jednakże
skoro aktorka pożądaną się stanie, rzadkiem
jest, aby sama dla siebie łoży nie miała, a
przynajmniej aby podług wyboru mając ob-
szerną łożę nie dzieliła jej z aktorką z którą
w przyjaźni zostaje. Ale jak wszędzie tak

i w teatrze przyjaźń bardzo jest nie stałą! aby utrwalić się między damami mogła, trzeba, mianowicie, aby jednej nie grały roli.

Łoża dla jednej osoby nie jest wielką w teatrach na bulwarach. Wystaw sobie przestrzeń sześć stóp kwadratowych w której musisz mieć lustro, małą szafeczkę, jakby bufet o mur opartą, a której wierzch służy za stół i tualetę wreszcie czasem prawdziwą tualetę, dalej kuferek, jedno lub dwa pudełka, dwa lub trzy stoły na które kładą ruż, blansz, pomady, ciasta, mydła, perfumy, puder i wiele innych rzeczy; kołki na których suknie i niektóre kostiumy teatralne wiszą, dwa lub trzy krzesła, sofka, szeląg, a przynajmniej fotel. Następnie połowa pieca, albo rura żelazna, a wreszcie rurka gazu który zbyt mocno, czasem bardzo słabo się pali, i którego aktorka nigdy nie śmie samą poprawić z bojaźni aby się ogień nie podnosił do sufitu.

Jeśli trzy osoby do łoży téj wejdzie, przyjmiesz że jedna siedzi w kącie na kufrze, sofie lub krzeselku, na którym nie może się ruszyć.

Aktorka wchodzi do swój łoży. Ciska na bok kapelusz, szal, mantylkę albo chusteczkę z szyi, mówiąc:

— Ah jak tu nieczyste powietrze.... gaz ten zabija.... płuca psuje.... Chciałabym aby

wszystkie gazy raz djabli wzięli... zbyt mocno się pali.

Poczem wychodzi z swęj loży i udaje się do sąsiedniej w której aktorka ubierając się rozmawia tajemniczo z autorem, o swęj roli a może i w innym przedmiocie....

Przybywająca mówi spostrzegając autora w loży koleżanki.

— Ah! przepraszam, przeszkodziłam....

— Bynajmniej, wcale nie! naprzykład, to głupstwo!... (odpowada aktorka zapinając podwiązkę), rozmawiałam z X... w przedmiocie sztuczki którą dziś czytał, prosząc go aby przedłużył nieco mą rolę.... aby dodał mi dwa lub trzy kuplety, gdyż chcę śpiewać.... mam dobry głos.... a więc ułóż pan tak abym śpiewała!... Szczególni są ci autorowie.... jeśli mają aktorkę która dobrze śpiewa, dają jęj rolę podrzędną w ogóle nic, gdyż cóż?...

— Może rola Pani nie jest piękną? zawoła autor podnosząc zniecierpliwością ramiona.

— Tego moje życie nie mówię; czy jest piękną.... Nie jest zachwycającą.... nie uniesie publiczności, ale wreszcie na rolę się nieuskarżam.

— To szczęście.

— Ale skarżę się na śpiewki.... mam tylko stare.... a kochanka wszystkie piękne.

Ponieważ zdaje mi się że przynajmniej tyle co ona mam głosu, mówię że to nie jest słusznie.

Przybyła aktorka którą rozmowa ta wcale nie obchodzi, gdyż w sztuce pod rozbiorem będącej nie gra, woła:

— Chciałam zmniejszyć ogień gazu: zbyt mocno się pali, ale nie śmiem się dotknąć.... czy tu nie ma chłopca teatralnego.... Nie znasz się ty na tém?

— Ja na gazie... zupełnie!...

Idzie do sąsiedniej łoży i krzyczy:!

— Pani Rot!... Pani Rot!...

Pani Rot jest garperobianą damy téj; głos jej słysząc z kilku łoż dalej.

— Któż to woła?

— Ja! to ja.... nie jestem usznurowaną....

— Zaraz przyjdę.

Aktorka przybyła, którą nazwiemy Zizi, woła z kolei:

— Pani Rot! jeśli zobaczysz Bicheta, fryzjera, przyślij mi go. Ah!... oto Piotr.... Piotr! chodź-no popraw gaz.... okropnie jasno w méj łoży.

Chłopiec idzie do łoży Panny Zizi, poprawia rurkę, i aktorka dalej się rozbiera.

W chwili gdy wdziewa pończochy drzwi się otwierają. Aktorka grająca rolę komieczną; ubrana za służkę z oberży, wsuwa głowę, mówiąc:

- Czyś sama?
- Tak, tak; choć pogadaj trochę.
- Moja droga, wściekam się!
- Cóż nowego?
- Byłaś dziś rano na czytaniu?
- Nie, gdyż nie wchodzę do sztuk Pa-

na X... Nigdy mi roli nie daje ten jegomość. Zresztą nie stoję o nie! nic nie ma w nich szczególnego! tak jak me kolana są dowcipne!

— Ah! moja kochana, wystawżesz sobie że daje mi rolę głupią, ale to najgłupszą!... zapychadło graćby ją mogło!... A jeszcze przed czytaniem gdym pytała go czy grać będę, miał czoło mi odpowiedzieć: «Tak, tak, masz Pani rolę z której zadowolona będziesz!... Ale jej grać nie będę.... oh naprzykład! wołałabym wcale wystąpić z teatru.

Gdy to przybyła mówi, Panna Zizi, obraca się, kręci, przewraca całą gotowalnię, mówiąc:

— Co to jest! gdzież się podział jedwabny sznurek od mego gorsetu.... wszystko ztąd zabierają, nie ma sposobu nic utrzymać.

— Jak to?... ja lubiona od publiczności... Nie dla tego żebym się chwaliła, żebym mówiła że mam talent.... Ale śmiech wzbudzam.... oto jest! a więc niechże śmiech

wzbudzają inne, które tyle mają talentów!

Zizi obraca się i woła całym gardłem:

— Panie Bichet!... przecież na Pana czekam.... przyjdź przyjdź-żesz mnie ufryzować. Ah jakież to nudy.... zawsze na niego trzeba czekać....

— Gdyby krótką dano mi rolę.... ale z ładnymi scenami.... kilka słów komicznych.... nicbym nie mówiła, gdyż wiem że nie wszystkie role mogą być za sześćset franków!... ale żadnego śmiesznego słowa!.... żadnego wrażenia nie uczynić.... wątpię aby ktokolwiek mógł dobrze pokazać się w tej roli.

Głos reżyssera słychać: w korytarzu panno Tonton! na ciebie kolej!

Aktorka nazywająca się Tonton, gwałtownie wybiega z łoży i mówi:

— Ah tak! to prawda.... opuściłam ale to nic nie szkodzi.... Oh! nie.... publiczność zbyt mnie lubi.... powiem wchodząc kilka błazeństw, rozśmieszę ich.... Ah! Zizi mam ci śliczną rzecz opowiedzieć o Marinetce.

— A więc! powrócisz.

— Tak.... Ah! ah.... tara.... a, a, a, hum! Ah! coś mi utkwiło w gardle.

Panna Zizi kończy tualetę; włożyła już ubiór spodni, niezbędny kobietom gdy idą na scenę.

Fryzyer przybywa; jest to młody grzeczny człowiek bardzo powolny.

— Ah! Panie Bichet; jakżeś okrutny, od godziny czekam.

— Masz Pani wstążkę?

— Tak.... muszę się prędko ubrać.... Przywoływałam Pana dziesięć razy.

— Masz Pani pomadę?

— Tak.... jednakże Pan wiesz ze drugą sztuczkę zaczynam.... to mnie niecierpliwi!

— Masz Pani podwójne szpilki?

— Tak.... Niektóre są szczęśliwsze! nie ich nie wzruszy, nie obejdzie.... zawsze Angielki, wiesz to Pan?

— Tak, tak.

Zaledwie fryzyer wziął głowę panny Zizi w obroty, pukają lekko do drzwi.

— Wejdz! woła aktorka niezmieniając postawy.

Jegomość z twarzą osłonioną czarnemi gęstemi faworytami, w rękawiczkach palowych bardzo świeżych, wsuwa się do łoży w kapeluszu i z laską w lekkim paltocie.

— Czy mogę wejść? mówi jegomość uśmiechając się przyjemnie. Aktorka która nie może ruszyć głową poznawszy młodzieńca w lustrze przed nim stojącym, odpowiada bardzo przyjaźnie.

— Dla czegoż nie? Ah! przybliź się Pan pomówiemy trochę; bardzoś grzeczny!...

kazać mnie dziś rano dwie godziny czekać, i nie przyjść.... Chodź Pan, siądź tu.... Nie siądź czasem na mej przepasce, niezgrabny!... Ah byłam tego pewna, już na niej usiadł...

— Ale nie, ale nie, uspokój się Pani.... widzisz ją....

Jegomość nasz zdjawszy wszystko z krzeselka znalazłszy za ledwie małe miejsce w kącie, siada patrząc na Pannę Zizi....

— Dla czegoż nie przyszedłeś Pan dziś rano? wytłómacz się.

— Gdyż musiałem być na śniadaniu z dwoma przyjaciółmi.

— Tak! tak!... nie wchodzę w to: nie mnie Pan mów takie rzeczy.... Panie Bichot, warkocz nieco wyżej.

— Tak.

— Niezawodnieś chodził z jakimi kobietami?

— Co za wyobrażenia.... cóż dziwnego żem jadł z kolegami śniadanie?

— Mówiłeś mi ze sto razy że nie lubisz jadać śniadań, że ci to nie dobrze.... Bardzo dobrze.... Czoło więcej otwarte.... tak,

— Proszę o szpilki?

— Proszę!... czy dosyć?

— Dosyć.

— Niech tylko dobrze się to trzyma, nie tak jak Palmirze, która zgubiła lok zeszłego wieczoru na scenie, w chwili gdy ją z rąk

ojca unoszono na rusztowanie.... Ah śmia-
no się też, śmiano!

— Panna Palmira sama fryzować się chcia-
ła... otrzymała karę na którą zasłużyła...,
skończyłem!

— Dziękuję Panie Bichet.

Fryzyer skończywszy z Panną Zizi idzie
do drugiej. Młoda aktorka siada przed lu-
strem i zaczyna się ruzować, rozmawiając
z jegomością w kącie siedzącym.

— Ale, ale coś to Pan wczoraj mówił za
kulisami do Panny Astazyi?

— Ja.... na honor rozmawialiśmy o rze-
czach zupełnie obojętnych.

— To zbyt długo trwało jak na obojętną
rozmowę!... myślę że to tak nie było jak
mówisz!...

— Wiesz że Astazyja dość uszczypliwa,
pokazała mi jednego z nowych aktorów,
który zawsze też same ma gesta.

— Jeśli są dobre słusznie przy nich zo-
staje.... Słuchaj Panie Kowzikoff, uprzedzi-
łam cię żem zazdrosna... nudzi mnie widzieć
jak rozmawiasz za kulisami z Astazyą.... je-
śli cię jeszcze przy niej obaczę, zrobię wam
okropną scenę.

— Szczególną jesteś.

— Może być, ale cię uprzedzam, miej się
na baczności.

— Czy sądzisz że kocham Astazyą?

— Tego nie mówię....ale mężczyźni tak są niegodni! kostium może w nich obudzić wyobrażenia anakreontyczne.... Ah.... o toż nos sobie różuje to dobrze. ?...

Wtój chwili puka ktoś do drzwi.Pan Kowzikoff marszczy brwi mówiąc:

— Któż to znów do ciebie przychodzi?... to niezdolne! nie można dwóch minut spokojnie pomówić!

Głos mężki mówi w korytarzu:

— Panno Zizi; czy można złożyć uszanowanie?

Aktorka rusza głową niecierpliwie mrużąc: Ah! to B.... Czyż jeszcze przychodzi mnie nudzić, autor ten.... z swą lornetką?

— On ci się zaleca ?....

— On! na przykład.... zobaczysz jak go przyjmę.... zostań z tyłu drzwi, nie zobaczysz cię.

Panna Zizi otwiera drzwi, staje w nich tak że z korytarza Pana Kowzikoff widzieć nie można.

Jegomość dość zgrabny, chce wejść do łóża Panny Zizi, która go wstrzymuje uwnijścia mówiąc:

— Ah to Pan B....? przepraszam gdyż się ubieram

— Przeszkadzać Pani będę.... ah! mocno

żałuję, chciałbym tylko wiedzieć czy Pani idziesz na bal artystów.

— Ja na bal! oh nigdy... Czyż ja chodzę kiedy na bale?... Zaraz po widowisku spać pójdę.

— Jak to! nie lubisz Pani przyjemności, tańców?...

— Nie, taniec nie jest tém co lubię.... Pani Rot.... czekam na Panią.

— Jestem.— Idę.

— Adjeu Panno Zizi.

— Adjeu Panie B...; życzę przyjemnej zabawy.

— Byłbym ją znalazł, gdybyś pani tam była.

— Bardzoś pan grzeczny.

Panna Zizi wchodzi do łoży; mówiąc, do Pana Kowzikoff:

— No cóż, słyszałeś naszą rozmowę, zdaje mi się że bardzo niewinna.

— To jest że miał nadzieję zaprowadzić cię na bal.

— Nie, pytał mnie tylko czy pójdę.... gdyż mówiono mu że ładnie tańczę walca, a on za walcem przepada.... Ah! wreszcie przychodzisz pani Rot....

Garderobianna wchodzi do łoży. Duża ta i silna kobieta od trzydziestu pięciu do pięćdziesiąt lat mająca, postaci nieco grenadyerskiej dość zaniedbanej, kiedyś piękna teraz

myśli tylko aby ubrać swe damy, sprzedawać im buteleczki blanszu, robić im dramatyczne kommissa, i przynosić zawsze to co mężczyźni przyzwoici mówią przez nią do aktorek. Zresztą garderobiana jest samą przyzwoitością; skoro widzi mężczyznę w łoży aktorki, tak jest jakby nic nie widziała.

— Czyż mam wyjść? mówi pan Kowzickoff, widząc przychodzącą garderobianę.

— Nie, nie; możesz zostać.... ubrałam się.... tylko suknię włożę.... Tym czasem żeby Pana zająć, szczerbij mi tę szpilkę podwójną nad świecą.

— Dla czego?

— Zobaczysz.... Śpiesz się pani Rot, boję się spóźnić; w którym są miejscu?

— Astazyja się truje.

— A to dobrze, mam jeszcze czas.... staraj się aby mi dobrze suknia leżała.... To za wolno!... panny te z magazynu są szkaradne! robić tak suknie.

— Pozpinamy szpilkami, a jutro to się przerobi

— Tak! zrób tak, bardzo zrobisz dobrze.... Czy to prawda że w sztuce którą pojutrze grać będą, Palmira wystąpi upudrowana?

— Tak.... w peruce.... w fryzurze z czasów regencyi.

— Ah! mój ty Boże!... puder do jej maléj

twarży... wzięłabym łożę aby to widzieć, jeśli nie dadzą mi biletu.... Czy dużo osób w teatrze?

— Tak.... śliczne towarzystwo!

— Tém lepiej: nie lubię grać przed pospółstwem; to mnie zaraz zniechęca.

Pan Kowzikoff który trzymał szpilkę czarną w ogniu nad świecą, krzyknął gdyż się sparzył. Panna Zizi rozśmiała się na głos mówiąc:

— Czyś się sparzył.... ależ należało tylko łeppek oczernić.... ale mniejsza.... połóż ją tu.... ah! wystrzał z pistoletu.... już skończyła się sztuka. Dziękuję pani Rot.

Garderobiana skończyła, odeszła; panna Zizi, w kostiumie wieśniaczki ogląda się od stóp do głowy, potem mówi do jegomości.

— Jak mnie znajdujesz?

— Zawsześ piękna.

— Oh nie żądam komplementów.... byleś nademnie panny Astazyi nie przekładał

— Dziecinną jesteś!

— Czy kapelusz dobrze włożony?

— Jak na aniołku.

— Cóż on tam dzwoni? czyż entr'actu dziś nie będzie?... Ah! szpilkę, zobaczmy, panna Zizi z szpilką oczernioną, zbliża się do lustra, potem łepkiem zczernionym, lekki robi znak, mały, czarny w kątach oka ze strony skroni.

— Pocóż to robisz? pyta pan Kowzikoff.

— Mój kochany to oczy zwiększa.

— Twoje tego nie potrzebują.

— Ah! w teatrze są rzeczy o których zapomnieć nie należy.... ah! teraz mój ruż na przykład, oto mała buteleczka którą pani Rot sprzedała mi... jest ruż płynny.... po trzy sous buteleczka, a ja musiałam trzy franki zapłacić. Ale nadal nie będę tak nierozsądną... sama sobie zrobię, nic nie ma łatwiejszego.

Gdy Panna Zizi blanszuje ręce i szyję, wchodzi Panna Tonton wołając:

— Ach! moja kochana, dłużej nie wytrzymam... śmiałam się!... Ah!... dobry wieczór Panie Kowzikoff! Ah!... tu tylko podobne rzeczy widzieć się dają.

— Cóż takiego?

— Palmira robi ogłoszenia.

— A dla czegoż?

— Gdyż mówiąc między nami dziś rano bardzo była słabą....jeszcze ma chrypkę.... jest zakatarzoną.

— Ah! ba! jest to chęć ściągnięcia na siebie uwagi.

— Kazała prosić publiczności o przebaczenie.

— Czyć skończyła!...

— Ale najlepsze to że reżysser zamatfał się w mowie.

Ukloniwszy się publiczności rzekł:

«Panowie, Panna Palmira mająca ból w żołądku, obawia się aby to jej nie zrobiło szkody w śpiewie, dlatego prosi was o przebaczenie....»

— Ah doskonale!

— Wtedy ktoś z parteru zawołał: niezawodnie że jej to różnicę robić może.... to błazeństwo!...

— Ha! ha! ha! Ale za pozwoleniem Tonton miałaś coś innego mi powiedzieć... Ah! jakżeż nudny z tym dzwonieniem.

— Przed dwoma dniami był bardzo ładny kawałek w gazecie teatralnej o Marynetce.

— Ah! mój boże!... Marynetka która cztery słów skleić nie potrafi.

— Wiesz że w ostatniej sztuce... Ah! jeszcze ktoś....

— Czy panna Zizi gotowa?

— Tak, gotowa.

Reżysser się oddała. Panna Tonton dalej mówi:

— Marynetka grając wieśniaczkę powiedziała do magnata który ją chciał uścisnąć.... Niechcę Pana słuchać! odejdziesz.... Zato Gazeta umieściła: «Widziano w sztuce tej młodą i piękną osobę, zwaną Marynette, mającą małą rolę ale oddała ją ona z wdziękiem i zręcznością wzorową. Nie wątpimy że autorowie ważniejsze role po-

wierzać jej będą, gdyż jest w tej młodej aktorce wszystko co zapowiadać może wielki talent i piękną przyszłość.»

— Ho! ho! to za wiele... nieumie otworzyć ust bez suflera!...

— Widzisz co to jest mieć gazeciarza kochankiem!

— A więc go ma?... a matka która jej nie odstępuje.

— Tak! znamy to wszystko dobrze. Ja nie jestem niezawodnie bardzo skromną, ale takie rzeczy mnie gniewają... Dla tego też gdy widziałam matkę Marinetty odprowadzając ją aż pod sam teatr; powiedziałam wszystko....

Gruby głos wola na całe garło w korytarzu.

— Druga zaczyna się sztuka.

— Idę rozebrać się mówi Tonton. Adieu Panie Kowzikoff.

— Adieu.

— A ja idę na scenę, mówi Panna Zizi, wychodząc z łoża, wraz z jegomością który wreszcie swój kącik opuścił.

— Kowzikoff nie chodź na scenę; idź na parter.... rozumiesz?...

— Ależ....

— Żadnych ależ,... Idź przed samą scenę

zobaczę czy też będziesz stroić oczki do Astazyi....

— Na pamięć znam tę sztukę... wolę iść do kawiarni.

— Wcale nie! wcale nie! chcę cię widzieć przed sceną; przynajmniej zobaczę co robisz, sędzę że odprowadzisz mnie po widowisku.

— Co za pytanie!

— Ah! Boże! zdaje mi się, że kurtynę podnoszą.... już na scenie być powinnam.... Bukiet mój!... Mój Boże byłabym go zapomniała....

Panna Zizibierze bukiet i spieszy na scenę.

— P. Kowzikoff przebiega schody prowadzące na ulicę i udaje się na parter wejściem publicznem.

— Panna Zizi znajdującą się na scenie z koleżanką, którą za rywalkę posądza, rzuca na nią spojrzenia piekielne podczas uwertury, tak dalece że Panna Astazyja mówi jej półgłosem dość hardym:

— Cóż to Zizi czybyś mnie roztrzełać twe mi oczami chciała? powiedzianoby że masz ochotę mnie przestraszyć.

— To dobrze... zobaczymy.... Znam twe zamiary co do Kowzikoffa... chciałabyś mi go zdmuchnąć z przed nosa ale odwiedzczę ci za spojrzenia! on cię szkaradną znajduje!

— Ach nie do twego północnego kawale-
ra nie czuje, nie lubię z tych klimatów ludzi,
są zbyt zimni.

— Staralaś się jednak go rozgrzać....

— Kłamiesz!...

— Impertynentko!!..

W téj chwili Kurtyna się podnosi; w sztuce téj obie damy, grają siostry, które się kochają szalenie. Wyktóciwszy się za koryn-
ną bardzo czule spoglądają na siebie przed
publicznością, śpiewając duo w którem
ciągle powtarzają:

— *Jedyna przyjaciółko! czuła siostro!
przyjaźń twa wdziękiem jest mego życia!
wystarczysz dla mego szczęścia! Ale mają
środki mieszać w to, epitety nie badzo pię-
kne, które półgłosem mówią i szczypią się
ściskając.*

Akt skończony; kłótnia się ponawia, reży-
sser jest zmuszony rozłączyć te damy. Pan-
na Zizi udaje się do swojej łoży mówiąc że
słaba; gdy tymczasem wraca dla urużowa-
nia się jedynie i poprawienia stroju.

Co do Panny Astazyi, ta przebiera się po
męsku co jój bardzo jest do twarzy, a kła-
dąc perukę uśmiecha się w lustrze mówi
«Za dwa dni Kowzikoff opuści Pannę
Zizi, wiem dla kogo,...»

BALE MASKOWE

W TEATRZE OPERY.

NIE mówimy tu o balach opery na których nie tańczono, gdyż te nie zgadzają się z dobrym tonem; tam damy chodziły tylko w dominach, mężczyźni cali czarno, z szapoklakiem pod pachą, jakby na wieczerze wielkiego urzędnika; przechadzano się poważnie, rozmawiano cicho z wszelkimi szczegółami dobrego tonu z osobą która intrygowała; izby ustępowe teatralne były schadzka arystokracji balowej; żaden dwuznaczny wyraz nie obrażał skromnego ucha damy. Ale niema tego więcej! żyjemy

w roku 1842, skreślemy więc bal opery tak jak jest dzisiaj.

Dziś okolice teatru opery inną przybrały postać, wszędzie pełno ludzi, większy ruch na ulicy; pojazd twój musi iść za innemi kolejnie, za ledwie wéjdiesz na bulwary, mężczyźni w bluzach, a nawet w tużurkach skaczą do drzwiczek powozu krzycząc:

— Panie bilety!... bilety Panie... chcesz Pan biletów!...

Niespodziewałeś się tego jesteś w bilet zaopatrzony, nierównie mniej zapłaciłeś za niego niżbyś w biurze dać musiał. Nic też niema łatwiejszego, możesz dostać biletów w restauracyach, kawiarniach, gdzie zawsze ich pełno. Żądasz biletów dla małżeństwa, dając natychmiast dwa bilety męzki i damski. Trzeba być obcym zwyczajom Paryża, aby w biurze teatru bilet kupować.

Ale massa ciśnie się pod kolumnadą, popycha, potraça przy wéjściu... sądzisz już że się spóźnisz... wreszcie jesteś na miejscu!... Ileż naokoło ciebie osób... Co za hałas! co za uradowane twarze; upojone radością maski przebiegają schody... Nie jesteś w sali a już czujesz zmianę w sobie, opuszcza cię rozum, przyzwoitość. Bo też w gmachu tym panuje wesolość, uniesienie spowodowane hukami; muzyką, tańcem,

tłumem osób, gorącym i wszystkim w ogóle co cię otacza.

Schody są ozdobione kwiatami naturalnymi; przebiegasz je, wokoło ciebie pełno dam i mężczyzn w rozmaitych ubraniach i maskach, (mówiemy o mężczyznach, gdyż kobiety tylko zamaskowane są przypuszczane na bale opery) Przybywasz na pierwsze piętro; za ledwie przejść możesz korytarz, tyle jest ludzi. Już twoje oczy spostrzegły maski różnego charakteru. Są niektóre kostiumy eleganckie, staranne, dobrze użyte, ale masa jest brzydkich zaniedbanych i nieporządných. Większa liczba kobiet przebrana jest po męzku w kostiumach tutejszego dobrego tonu (choć nie jest to dobry ton po większej części). Dalej widzisz wojskowych huzarów, gwardyę francuską.... Są to kobiety; zdaje się że w kostiumie płci drugiej wygodniej oddawać się mogą rokoszy, szaleństwu, które ich oczy uderzają.

W wejście jest trudne do przebycia; tu najwięcej się pchają, ale to nie robi obawy: czyż możesz się obawiać uduszenia gdy jesteś otoczony ludźmi którzy się śmieją, pchają, mówią tysiące żartów. Wreszcie doprowadzić zdołałeś piękne domino w miejsce, które tłum jeszcze szanuje: Usiłujesz zawiązać rozmowę, chciałbyś zdobyć twą od niebezpieczeństwa, od poufałości naktó-

re tu kobieta jest wystawioną, uchronić; ah jeśli obawiasz się tego, nie idź na maskaradę, będziesz tam zbyt nieszczęśliwym.

Poczytylion pcha cię z tyłu; kilku młodych ludzi przejść ci nie dozwala, gdyż zatrzymali się aby rozmawiać z bajaderkami.

Wieśniaczka depce cię po piętach, małe domino które prowadzisz jest ze wszystkich stron popychane. Są chwile w których już odetchnąć nie możesz, kroku ani na przód ani wtył zrobić. Jeśli masz ochotę pokazać gniew, lub nieprzyjemność z tego powodu; tém gorzej śmiać się z ciebie zaczną.

— Fifino!... usuniesz się, puść Państwo!..

— Patrz jaki ma nos, ten.... Czyż żona twoja robi grymasy! bardzo jest podejrzliwa, nieprawda?

— Słuszną miałaby przyczynę, gdy ma pod ręką Chińczyka jak ty.... można dać mu kulaka.

— Usuniecież się! nie widzicież że to Xiążę inkognito z swą kucharką!..

— Tak myślisz? doskonale!... wziąłem go za kupca zapalek Chemicznych! Co do jego maskowanego bóstwa, ręczę że tak jest szkaradne jak tamta dama.... Dobry dzień Pani!

Po wielu poruszeniach wraz z masą wtył i naprzód wreszcie wyszedłeś z tłumu, szczęśliwy, jeśliś nie stracił towarzyszeki.

Chcesz usiąść w łoży; niema sposobu wszystkie zajęte. Biorąc zrana kilka biletów w biurze, ma się prawo zająć łożę; jest to korzyść której mieć nie można kupując bilety po zniżonej cenie.

Łoże nie wynajęte są również zapełnione. Ani jednego wolnego miejsca, nawet na balkonie.

Idzień na piętro, lżej nieco można iść po korytarzach, wyjąwszy koło środka przy wejściu do sali ustępowej. Tu są ławki zawsze zajęte i pożądane, zawsze tu mówią, zatrzymują się, schadzki sobie dają, a w skutek tego zawsze osób pełno.

Idziesz do otwierających łoża.... jak na pierwszym piętrze.... nie ma miejsca."

Idziesz jeszcze wyżej. Tutaj wygodnie przechodzić się można, mało jest ludzi, wyjąwszy w łożach które są zajęte. Nie możesz znaleźć miejsca idziesz na czwarte i ostatnie piętro zobaczyć czy tam lepiej ci będzie.

Korytarze czwartego piętra i amfiteatru prawie są próżne; tutaj przychodzą rozmawiać niektóre pary szukające odosobnienia lub chcące uniknąć spojrzenia zazdrośnych.

Tutaj także przychodzi Mleczarka poprawić swe włosy, Sułtanka przypina welon który jej zaledwie nie zleciał w galopadzie, gdy témczasem Turek przechadza się z turbanem pod pachą.

Zmordowane domino zdejmuję tu maskę aby chwilę odpocząć. Hiszpan rozmawia w kącie ze szwajcarką której proponuje kolacyą; dalej dwóch kochanków którzy jedynie przybyli na maskaradę aby się spotkać, rozmawiają nie wiedząc co się około nich dzieje.

Na chwilę siadasz w łoży, albo na ławce amfiteatru, uroczy widok, tysiące świateł, roszkowna muzyka, ciągły szmer, wszystko to cię odurza, myślisz że lepiej być z tymi którzy się bawią niż na nich patrzeć zdaleka, jak dziecie któremu każą być spokojnie, gdy tymczasem koledzy jego się bawią, pospieszasz zejść, aby się do saturnaliów i bachanaliów na sali zmieszać.

W dwóch jej końcach, w pięknych tych małych rotondach otoczonych sofami, chciałbyś znaleźć miejsce.... Zbyt to trudno; trzeba by czekać przynajmniej dwie godziny.... a nadto, są którzy tam siadają jak tylko zabawa się rozpocznie, i wychodzą aż po jej ukończeniu. Jest to ulubione miejsce niektórych męszczyzn birbantów, i tych którzy chcą być takimi. Siadają oni tam zminą jak gdyby powiedzieć chcieli do każdego przechodzącego domina:

— Intryguj mnie.... zrobisz mnie przyjemność.

Przechadzasz się po środku, chcesz wyjść;

co również jak wejść jest trudno; wreszcie się wydostajesz.

Wkorytarzach częste przedstawiają ci się awantury.

— Kup że mi lemoniady, umieram z pragnienia! mówi małe domino zmiętoszone do Iwa którego za rękę ujęło. Ten przezierra od stóp do głów domino odpowiadając:

— Kupię ci co zechcesz ale zdejm maskę.

— Nie, zdéjmę ją potém!

— Dziękuję, niechiałbym się dać okraść.

— Niegrzeczny!

— Patrz, idź do tego wysokiego, tam dalej!... widać po minie że pragnąłby jakiej dobrej sposobności; może ci kupi kolację nie żądając demaskowania.

— Masz racją..., wygląda na to!

Małe domino opuszcza młodego Iwa idzie do owego mężczyzny, ale uprzedza je targarz który już wziął nie znajomego za rękę.

— Już go wzięła! woła domino z gniewem znowu Atalia... z przed nosa mi go zabiera... Przeszłej soboty, straciłam przez nią dwie kolacye! ale się zemszczę! nie oddam jej spółnicy którą mi pożyczyła.

Gdy to wszystko się dzieje dochodzisz do jednego z wejść na sali. Nie schodzisz ze schodów....tłum cię unosi, i zwykle jesteś na dole nie dotknąwszy nogą ziemi.

W sali to największe szaleństwo ustaliło swój pobyt. Tam blask światła cię zaślepia, muzyka zachwyca, odurza, upaja. Istotnie co za muzyka przeszło dwieście rąk doskonałych pod kierunkiem sławnego Muzarda.

Patrz na niego.... tam jest....stoi, daje znak. Co za śmiałość, energia, jak twarz jego cała jest w ruchu. Jak pokazuje stopnie uniesienia, wszystkich którzy tańczą. Dla tego to odkąd Muzard dyryguje orkiestrą bale opery stały się wesołemi.

Ale znak dany... wszystkie stróny są w ruchu.... Co za taniec.... cały jesteś zachwycony.... wierzyć temu wszystkiemu nie możesz.... Jakto? na balu opery tańczą równie jak w Chaumiere, i w salonie Flory, szaloną galopadę, a często i co gorzej. Ciągłe patrzysz.... Mówisz sobie: to bardzo źle, to hańbi świątynię sztuk....jednakże spoglądać nie przestajesz; czas mija patrząc na te nieszczęsne tańce; zaledwie się jeden kadryl skończył, już drugi rozpoczynają.

Bo też trza przyznać że taniec ten jest bardzo uderzającym, pociągającym, i nie skończenie więcej zabawiajak nasze dawne kontredanse.

Wszakże mówimy tu o galopadzie wykonanej z gracją, figurami, gęstemi śmiesznymi, nie zaś o tańcach rozwiązłych, nieprzyzwoitych, gorszących, którym mężczyźni,

kobiety publicznie, oddawać się nie wstydzą; zamiast zabawiać, taniec podobny oburza widzów.

Na nieszczęście w tłumie mniej więcej przebranym, zapelniającym sale, na elektryzowanym muzyką wiele jest osób obrzydliwych uważających się za śmieszne, które nie umiejąc tańczyć tej galopady z gracyą myślą że się popisują zmuszając widzów do zarumienienia się nie raz.

Patrz na galopadę której bez zarumienienia przypatrywać się można, na tę kobietę przebraną za tragarza, tańczącą z małą markietanką; współubiegają się o zręczne poruszenia, komiczne ruchy, otóż galopada na którą patrzeć miło, a gdy do tych wdzięków, lekkości, zolotów kobiecych, dodają się piękne oczy, zgrabna kibić, jeśli ta markietanka drobniutkie ma nóżki, łydki zgrabne, oprzyjżeż się temu wszystkiemu, gdy orkiestra upaja twe zmysły rozpalone tańcem, gdy zkażdą piękną kobietą która koło ciebie tańczy możesz pomówić; gdy w każdego oczach, na każdego twarzy, widzisz radość! gdy pomysłisz o wiążących się intrygach, w tym nawale osób, o schadzkach, kolacyach które tego następstwem być muszą.... i t. p.

Bądź ostrożny jednak, jeśli cię wdzięki szalonej galopady zachwyciły, jeśli nie możesz,

nadziwić się wdzięcznym poruszeniom kobiety okrytej w różowe domino.... taniec często zwodzi!... widzieliśmy osoby bardzo brzydkie, tańczące z zachwycającą lekkością, żywością i wdziękiem.

Ale nie możesz oprzeć się temu, załcdwie skończy się kadryl, a zaraz przybliżasz się do domina którego taniec cię uwiódł, obsypujesz je pochwałami, ładnemi słówkami.... przyczem imiłość swą oznajmiasz; na balu opery bardzo prędko bierze się do rzeczy, bo tylko do poranku czas służy; chcesz korzystać z niego.

Domino któremu masę grzeczności mówisz, mniej więcej dowcipnych, przypatruje ci się uważnie. Jeśliś młody, przystojny, jeśli pokazujesz się lwem lub bogatym cudzoziemcem, bardzo łatwo domyśleć się można że cię słuchać będą i mile przyjmą ofiarowaną rękę.

Rozmowa zwykle bywa téj treści.

— Musisz być prześliczną?

— Eh! tak myślisz?

— Jestem przekonany!

— Z czegoż tak wnosisz?

— Z twój postawy! pięknej brudki!..., oczów! głosu!

— Mógłbyś się omylić: nie trzeba ludzić się pozorem.

— Ah! kto tak pięknie jak ty tańczy niepodobna by nie był ładnym.

— Dziwnyś!

— Zdejm maskę, zaklinam cie!

— Oh nie.... niechcę.... jakkolwiek.... jednakże nie obawiam się być widzianą.

— Nie obawiasz się! gdyż wiesz żeś cudownie piękna.... no.... proszę cię.. oh! wiem że tego sama pragniesz.

— Więc muszę ci ustąpić!

Domino zdejmuje maskę.... Młodzieniec osłupiał.... ujrzał twarz okropną, odrażającą, starą i w pretensjach! nie wie co ma począć, wolałby się skryć w ziemię.

Ale cóż za nowe szaleństwo opanowało tancerzy? Biegną po dwóch ku sobie pchając się, krzycząc, w uniesieniu radości; galopada się zaczyna.... galopada, którą obecnie kadryl zakończy. Ustąp jeśli nie tańczysz. Na kształt wezbranej rzeki zalewającej... salę... tłum krzyczy, tupie nogami, rękoma w powietrze klaszcze.... rzuca kapelusze, wydając radośne krzyki i towarzysząc spiewem orkiestrze Muzarda. Tańcz dołrze jeśli puszczasz się w szaloną galopadę bo gdybyś upadł, żadna cię nie wstrzyma ręka: po galopują nieco na twoich plecach. Co za obraz!... co za taniec!.. co za rokosz! Trzeba wszystko to widzieć aby mieć o tem wyobrażenie. Poeta jeden powiedział «*Wi-*

«dzieć karnawał Wenecki a potem umierać,
My sobie powiemy. «Trzeba widzieć galo-
«padęszaloną nabału opery w Paryżu....a
«potem spać się położyć.»

GRONO RODZINNE.

JESLI zechcesz zwiedzić przedmieścia, wchodzić do mieszkań ludu, znajdziesz rodzinę której tu zamierzam skreślić obraz.

Kobieta mająca trzydzieści lat, mieszka w domu na przedmieściu Saint-Antoine, zajmuje w podwórzu dość ciemnym małe na czwartym piętrze mieszkanie złożone z dwóch pokoi.

Jest od trzech lat wdową, mąż stolarz zostawił jej czworo małych dzieci.

Robotnicy w Paryżu żenią się często nie mając innego prócz rąk i zdrowia, majątku;

powszechnie żona ich ma oddzielne zatrudnienie: pracują oboje sądząc że zarobią zawsze dosyć aby być szczęśliwemi, tém bardziej że miłość ich złączyła. Dziś tylko u ludu podobnie wiążą się małżeństwa.

Skutkiem tych młodych rzemieślniczych małżeństw są powszechnie liczne dzieci.

Dla czego dzieci przybywają prędkiej i są liczniejszemi w niskiej klasie niż między możnemi?... Niezawodnie jest to wpływem, miłością skojarzonych małżeństw.

W wysokich domach gdzie jest trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu często zły mąż gdy mu żona trzecie przynosi dziecko; mówi:

— Mam już syna i córkę, było tego dosyć... Trzeba pieniędzy na wychowanie syna.... trzeba też na wydanie za mąż córki; nie potrzebowałem nowego dziecka.... To już zbyteczne.... To mnie gniewa?... oszczędźbym się bez podobnego prezentu.

W klasie rzemieślniczej, w której z dnia na dzień żyją, najskromniejsze małżeństwo nie uskarża się gdy opatrność nowym go dzieckiem obdarzy. Biedni ludzie obawialiby się obrazy Boga szemrząc naprzeciw naturalnemu skutkowi ich miłości; a gdy żona rumieniając się oznajmia mężowi że wkrótce mieć będzie trzeci lub czwarty zakład ich miłości, mąż całuje żonę mówiąc:

— Jedno więcej dziecię.... dobrze, z tém większą pracować będę gorliwością!... Będę przededniem wstawał, kładł się później, znajdziem środek i to za co wyżywić!

— A potem, odpowie matka, wielkie jest w tych ciężarach wynadgrócenie.... za trudy, gdy ma się jedno więcej do uściśnięcia dziecko, gdy widzi się małą twarz jego z uśmiechem o całus proszącą.

Widzicie że to niepodobne do tego co mówił jegomość trzydzieści tysięcy franków dochodu mający.

Tak stało się w małżeństwie stolarza. Siedm zaledwie lat upłynęło od pojęcia podług swego wyboru żony, a już ta trzy mu przyniosła owoce, i czwarty w żywocie nosiła, na co się wcale ludzie ci nie skarżyli; bardzo uważali się szczęśliwemi, gdyż mąż zawsze miał robotę, żona rozciągając opiekę nad dziećmi, znajdowała czas jeszcze na robienie małych robót, które przynosiły jój tyle, że dzieciom przyjemności czasem sprawić mogła: mała rodzina rosła codziennie — twarz bowiem dziecka ludu zawsze jest świeżą i rumianą! gdy tymczasem trudno nie raz utrzymać przy życiu dziecko bogacza.

Aby znaleźć sposób, z owoców swój pracy utrzymać gospodarstwo i wychować dzieci, robotnik nie idzie w niedzielę ani w po-

niedziałek bawić się za miasto; przechodząc ulicami nie wstępuje do kupców win ani miejsc pocieszenia; jednak nie mniej jest szczęśliwym; może nawet więcej niż gdyby się oddał pijaństwu i próżniactwu; gdyż między ludem jak i wyższym towarzystwem są dusze czyste umiejące oceniać rozkosze które po sobie ani niesmaku ani wstrętu nie zostawiają.

Dobre jednak prowadzenie, wytrwałość, miłość pracy nie uwalniają jeszcze od pocisków losu.

Inaczej, wszyscyby ludzie zachowali się dobrze, i żadnej nie byłoby zasługi dla cnoty.

Uczciwy stolarz mocną dotknięty chorobą, umarł właśnie w czasie, gdy przed kilku dniami żona czwarte mu przyniosła dziecko.

Utraciwszy małżonka którego kochała i który ją żywił, została wdową z czterema dziećmi z których najstarsze siedm lat liczyło. Dla wielu żon byłoby to powodem rozpacz, zniechęcenia do życia, a to prowadzi do najostatniejszych kroków; ale wdowa po stolarzu wiedziała że tylko sama pozostała dzieciom: poznała że przede wszystkim trzeba mieć moc duszy, odwagę; utaiła boleść, połknęła łzy; całą siłą zajęła się sposobem utrzymania rodziny.

¶ Między ludem są dusze szlachetne których ani nędza ani ogołocenie ze wszystkiego, ani praca najcięższa nie odstręcza: przyjmują one bez obawy wszelką nędzę którą niebo na nich zsyła jakby nieszczęście dla nich było przeznaczoném.

Zawsze wielka odwaga im towarzyszy we wszystkich przedsięwzięciach. Pracą, nieszczęśliwa wdowa lata niedolę; wstaje równo ze dniem, pracuje późno przy lampie słabe światło dającą; w ciągu dnia nie traci chwili czasu; ciągle siedząc przy oknie igłą pracuje, ręka jej nabrała zadziwiającej wprawy; nietylko dającym jej robotę, ale samą i dzieciom na niczem nie zbywa; w skutek dobrego rzędu, starania, oszczędności znajduje jeszcze sposobu nadania skromnemu swemu mieszkaniu czystości i porządku, który nawet na dostatek zakrawa.

Nie ma dla niej ani święta ani niedzieli spaceru, przyjemności, odpoczynku, jednakże żalów nie rozwodzi, a dziś gdy już trzy lat upłynęło od śmierci męża, zaczyna się uśmiechać, patrząc na dzieci czuje że może jeszcze na ziemi jakiegoś doznać szczęścia.

Rodzina jej składa się z trzech córek i jednego syna. Syn jest najmłodszy; córce najstarszej dziesięć lat się zbliża a już rwie się do pracy, w nadziei przyniesienia ulgi

matce. Jak dla dzieci biednych jest radością, szczęściem, ulżyć pracy rodzicom, jest to sława, do którego wzdychają; tak w domach zamożnych młodzież wzdycha do chwili kiedy sama w świat się puści, a młode panny kiedy za mąż pójdą.

Dzieci wdowy myślą tylko o miłości dla matki, i chciałyby być w stanie dać jej tego dowody. Wejdźmy do tej pracowitej kobiety, i przypatrzmy się obrazom nastrożającym.

Jest młodą i jeszcze piękną, ciągle jednak zajmuje się pracą zapomniła o swój młodości, nie wie że jeszcze podobać się może. Jednakże kilkumęczczyzn z tém się oświadczało; nie słuchała ich, albo téż pokazała im dzieci mówiąc: o to jest co teraz kochać powinnam.

Kilku rzemieślników oświadczyło się z nią żenić, nie lękając się licznej jej rodziny, ale wdowa im odpowiedziała:

«Ah! gdybym z wami więcej dzieci miała, czyliż te nie miałyby prawa wyrzucać mi żem miłość ku nim z waszemi podzieliła? »

Kobieta ta mieszka w skromnym pokoiku przedmieścia Saint-Antoine; nieustannie pracuje, śpiewa czasem dla rozerwania dzieci. Starsza córka którą czytać nauczyła, pokazuje litery siostrze siedmioletniej; druga pięć lat mająca, przysłuchuje się lekcyi aby nieco zatrzymała w pamięci; a mały chłopiec

trzy lat liczący przewala się po pokoju mówiąc że prędko chciałbym być dużym, i pracować bym mógł swęj mamie kupić ładne cacka.

Nie sądź aby pobyt ten oznajmiał nędzę: nie, wszystko jest tu władzie, wszystko czyste, dzieci ciepło są ubrane; niema jednej dziury w ich suknicach które starannie są naprawiane i utrzymywane. W Niedzielę wdowa wcześniej wstaje, aby uprać koszółki, odzież małej gromadki, a jeśli przypadkiem wyjdzie z dziećmi na spacer, każdy, porządek i czystość z jaką są ubrane, uwielbia, a biedna matka widzi się szczęśliwą i dumną że może wyjść z niemi nie wzbudzając litości.

Gdy godzina obiadowa nadéjdzie, wdowa rozdaje każdemu dziecku porcyę jego chleba, mają dosyć, ale tyle tylko co potrzebują, jednakże często biedniejszy jeszcze sztuka do drzwi rodziny, prosząc o wsparcie którego mu możni odmówili; wdowa go nie oddala nigdy, a zbliżając się do dzieci, mówi:

— Moje dzieci, widzicie, ten jeszcze ma mniej od nas, gdyż my dość mamy aby wyżyć, a jemu brakuje chleba. Dajmy każde po kawałku, to dla nas małą różnicą a dla niego wielkim będzie wsparciem. Dzieci dają matce chleb; od każdego z nich odcina po kawałku, najwięcej zaś ze swego daje ubogiemu.

Dalekie aby się uskarżać miały na to

zmniejszenie, dzieci uśmiechają się do matki :

— Mogłaś wziąć więcej; mówi najstarsze.

— Niechce mi się jeść, mówi drugie, mały chłopiec zaś woła:

— Trzeba mu było dać cały mój chleb.... ja nie żarłok! Potém jeść dużo będę jak urosnę.

Godna wdowa widzi się szczęśliwą ścisnąjąc dzieci.

TABLE D'HÔTE.

W WIELKIM mieście *table d'hôte* jest wymysłem, a raczej rodzajem restauracyi z oznaczoną od osoby ceną, gdzie, na przykład, nie masz prawa, za twe pieniądze, żądać téj którą lubisz potrawy: musisz poprzestać na tém czém ci służą, choćby potrawy były mało zmienne lub z twoim gustem niezgodne. Jednakże ponieważ zgodzono się nazywać *table d'hôte*; dom gdzie nie jada się potraw z karty i gdzie wszyscy u jednego stołu siadają, poznajmy domy tego rodzaju istniejące w Paryżu,

Jest ich wiele, po różnych cenach i na różną stopę. Znajdziesz od jednego do dziesięcio-frankowego od osoby. Rzadkiem jest znaleźć na niższą lub wyższą cenę.

Większa ich liczba ustanawia umiarkowaną cenę od trzech do pięciu franków. U jednych kawa nie wchodzi w to, w innych wchodzi, w ogóle jednak kawa i likier płaci się osobno.

Table d'hôte w wielkim mieście jest schadzką cudzoziemców lubiących z jednymi ludźmi jadać dla zabrania prędszej znajomości, ludzi bezżennych niemających ani rodziny, ani gospodarstwa, często ani przyjaciół, a którzy znajdując się z temiż samymi twarzami, sądzą że są w gronie znajomych, filutów, to jest ludzi bez żadnego zatrudnienia, szukających fryców aby żyć ich kosztem. Przy *table d'hôte*, starają się oni siedzieć obok cudzoziemców; będą dla nich pełni szacunku, uprzedzenia, starań, niezanie dbując przytém rzucić z czasu do czasu słów kilku nad twym majątkiem, kredytem i szczytnymi znajomościami. Są zawsze ludzie, którzy dają się uwodzić.

Jeśli filuty bardzo są pospolici przy *table d'hôte*, na blaznach również tu nie zbywa. Ostatni przychodzą w celu zabawienia się, zajęcia jednych, innych z mistyfikowania, głównie atoli aby szydzić z wszystkich.

Znajdziesz jeszcze młodzież przy *table d'hôte* nową w świecie której powiedziano że tu można się nauczyć obyczajności zaznajamiając się z osobami, które o to tylko się starają.

Dalej znajdziesz tu birbantów którzy niemając szeląga przepędziwszy kilka miesięcy w zbytkach, jedzą skromny obiad przy *table d'hôte* i to na kredyt po dobrej ich minie miarkując, tacy powszechnie kończą oddaleniem się i nieznaczném....

Czasami literaci przychodzą tu, czynią dostrzeżenia, a urzędnicy przychodzą z ciekawości; kupujący w nadziei zjedzenia po miejsku i nieźdrogo, żartoki dla przekonania się czy dobrze tu jeść dają i massa innych osób które tu przychodzą dla zabicia czasu lub ciekawości.

Ale przy *table d'hôte* siadają kobiety (których największa jest teraz liczba) ta część towarzystwa jest najciekawszą i zasługuje mianowicie na uwagę postrzegacza.

Aby kobieta w Paryżu szła na obiad do *table d'hôte* trzeba aby wcale nie miała gospodarstwa ani rodziny; aby wolną była od bojaźni swój płci (właściwej i nieobawiała się siedzieć codziennie przy stole obok mężczyzny nieznanego; gdyż przy *table d'hôte* gdyby zawsze jedni siadali, skończyłoby się znajomością wszystkich. Ale nie

tak jest w Paryżu. Zwykle uczęszczający, lub jakakolwiek osoba raz przypadkiem będąca przy *table d'hôte* przyjdzie inną razą z przyjacielem jednym, dwoma, nawet trzema. Każdy może tak samo uczynić; osoba utrzymująca stół, cieszy się gdy przybywają nowe twarze: mówi sobie:

«Gdy jest na dziewięć to na jedenaście wystarczy.... i tak dalej....»

Rozumowanie bardzo smutne dla zwykle uczęszczających którzy dobry apetyt mają.

Ale wróćmy do dam które uczęszczają do *table d'hôte* rzadkiem jest aby były młode i piękne. Dla czego? gdyż te którym na tém nie zbywa mają dość obiadów w gabinetach prywatnych, nie potrzebują więc tu przychodzić. Tak więc jeśli damy które tu widzisz są młode, to nie są piękne; jeśli piękne to nie młode. Jednakże są wyjątki: naprzykład, spotykać się dają bardzo piękne kobiety przy *table d'hôte* gdzie gry hazardowne mają miejsce.

Damy tu uczęszczające, wiele podróżowały, wiele świata objechały; mówią po kilka słów z pięciu lub sześciu języków które ciągle w rozmowę wprowadzają. Damy te wiele miały awantur!.... to bardzo roman-sowe! nie do uwierzenia; jeśli ich słuchasz nie masz czasu jeść obiad,

Widzisz drugie których obójście się jest dwuznaczne a ruchy nieco wolne; ale każą na to nie zważać, nadają sobie twarz i akcent cudzoziemski..z jakiego kraju jest ich akcent? trudno odgadnąć a damy te nie byłyby w stanie w tym was objaśnić. Mniejsza, damy te są hrabinami zagranicznymi, trza im więc wybaczyć że mówią po francuzku językiem kucharek i pokazują często zupełną niewiadomość naszych zwyczajów.

Widzisz dalej stare kobiety udające młode: są wymuskane, ugłaskane, ściśnięte, malowane, uróżowane, czuć od nich perfumy, piżmo, ambre i esencję, mają stroje wiekowi swemu nie właściwe, co jeszcze śmieszniej czyni, wreszcie śmiało patrzą mężczyznom w oczy, wzdychając, na co gdy żadnej nie odbierając odpowiedzi, postanawiają oświadczyć się z miłością nieszczęśliwym śmiertelnym, którzy je zachwycili.

Dodaj do tego kilka figurantek naszych wielkich teatrów, zrujnowanych markizek, kobiet utrzymywanych dziś opuszczonych, uwiedzionych dziewcząt i chcących jeszcze się uwodzić, a mieć będziesz wyobrażenie o damach pokazujących się w nieskończonem *table d'hôtów*, liczbie.

Jednakże jest w Paryżu kilka zakładów tego rodzaju gdzie towarzystwo dobrze jest dobrane; aby być tu przypuszczonym, trze-

ba koniecznie przez kogo z tamtějších znajomych wprowadzonym zostać, damy przychodzą tu rzadko; po większej części nie są przypuszczone.

Ale nie same obiady sprowadzają gości do *table d'hôte*, pozorem tylko jest objad, gry są prawdziwym powodem; gry, namiętność którą u wszystkich znajdziesz ludów, we wszystkich klassach, gry które się pod tysiącem form wciskają, wchodzą i wypędzone drzwiami oknem powrócą. W Paryżu odkąd zniesono loteryą i domy gier zamknięto, wielu szukało sposób aby pociągnąć do siebie graczy którzy nie wiedzą już co mają robić z pieniędzmi, zasmuceni że im odjęto sposobność stracenia majątku wciągu jednego dnia lub jednej nocy.

Wiele domów gier tajemnych utworzyło się mimo zakazów policyi; ale pomimo wszelkich ostrożności je utrzymujących, rzadkiem jest aby ich nie odkryto: Ci którzy w te zakazane miejsca chodzą, wystawiają się na bardzo nieprzyjemne sceny, które doprowadzić ich mogą do więzienia. Są gracze którzy na nic nie zważają, są drudzy których namiętność prowadzi do łamania praw, dla tych trzeba zgromadzeń, towarzystw nie mających wcale pozoru domów gier. *Table d'hôte* te korzyści przedstawia. Nie jest to bynajmniej miejsce publiczne, gdyż trzeba być

prezentowanym. Po obiedzie zwykle tworzy się małe towarzystwo. Zresztą gry hazardowne nie mają tu miejsca.

Bouillote, ekarte, imperiale, są zwykłemi grami w *table d'hôte*; czasem pozwolą sobie i grę dwadzieścia jeden (*vingt-et-un*) lub *macao*; co bardzo już zbliża się do hazardownych; ale utrzymujący zakład powie ci: Tak na małą skalę grają; że to tylko dla zabawy; a trza mieć bardzo zły humor aby w tém co tylko rozrywkę ma na celu, znaleźć co złego.

Ty który pozwolisz się wprowadzić do *Table d'hôte*, nie uwodź się temi słówkami. Zaczynają zwykle partyę po dziesięć sous; w kilka chwil potem po Napoleonie, ten zaś który najmniej przegrał, jest pierwszy do podniesienia stawki.

Table d'hôte w którym nie grają, więcej wzbudza zaufania, może obiad nie tyle tu jest wykwinnym gdyż w tych gdzie gry po obiedzie następują więcej czynią wystawy dla ściągnięcia osób; często nawet daleko wyżej nad cenę gdyż wiedzą że później sobie to wynagrodzą. Towarzystwo w pierwszych zdaje się więcej przedstawiać zaufania, znajdziesz i tu błaznów, żartoków, stare kobiety, ale za to mniej oszustów, flutów i dam które z najpiękniejszym uśmiechem odwrócą ci króla w ekarte.

Są dostawcy i dostawczynie gości do *table d'hôte* ci jedzą gratis; a nawet należą do części zysku. w *table d'hôte* gdzie grubo grają, powszechnie kobiety zalotne mają sposobność sprowadzania ludzi; tu dają sobie schadzki, nieomieszkując przytém powiedzieć osobie którą podbiły:

— Jeśli Pan masz przyjaciół, przyprowadź ich bez skrypułu, owszem to nam przyjemność sprawi, zresztą znajdą oni towarzystwo dobrane i ładne kobietki....

Istotnie damy które tu przychodzą nie mają zwyczaju udawać z mężczyznami..., którzy grubo grają.

Młodzieniec spotyka na widowisku damę bardzo elegancką, może nawet odznaczającą się w obójściu. Uludzony wpada w łapkę, zresztą zakochany łatwo oszukać się daje. Prosi o schadzkę: dama naznacza mu dzień jutrzejszy, ma się udać do pięknego domu gdzie zgromadza się najlepsze towarzystwo Paryża na obiad płacąc po pięć franków od osoby.

Młodzieniec z uniesieniem na to się zgadza. Nazajutrz ściślym jest w dotrzymaniu słowa, przybywa w oznaczone miejsce, pyta o Panią *de Flicflac* albo inną w tym rodzaju, damy te nie wstydzą się przydać *de* do swego nazwiska. Piękność wczorajsza

idzie na przeciw jegomości którego przedstawia towarzystwu.

Młodzieniec jest wpośród piętnastu osób z których wszystkie dają sobie tytuły, stopnie, godności: jeden nazywa się hrabią, drugi baronem, ten dawnym kawalerem, tamten *ex generałem*, mało jest obywateli, a ci którzy są, ciągle mówią o swych domach, dochodach, milionach. Damy są eleganckie, jakkolwiek ich ubiory nieco zwiedłe; patrzą bardzo przyjemnie na przybyłego, który jest w zachwyceniu że w tak piękném towarzystwie się znajduje.

Siadają do stołu; młodzieniec siedzi przy swój lubej: może ją ścisnąć, brać za.... kolana...; nie broni się ona.... przeciwnie.... Z drugiej jego strony siedzi jegomość nazywający się dawnym marynarzem, tylko o pojedynkach mówi które odbył, o ludziach których zabił, gotów założyć się że o czterdzieści kroków trafiłby w łeppek od spilki i szpadą ugodził w miejsce którebyś mu oznaczył; opowiada on dalej mnóstwo przyjemnych rzeczy towarzystwu, na przykład za ledwie są przy drugiej potrawie, zakłada się o butelkę szampana, że potrafi wypić pełną szklankę wina, którą stawia na środku talerza, nie dotknawszy się jej, nie rozlawszy kropli.

Pani Flicflac szturga w kolano młodzieńca mówiąc po cichu:

— Załóż się.... jestem pewną że tego nie potrafi.

Młodzieniec zakłada się. Jegomość doskonale wykonywa to co miał zrobić, butelkę szampana wygrał.

Chwilą później tenże sam woła:

— Ale to bagatela. Postawię dwie szklanki pełne szampana, jedną na drugiej wypróżnię spodnią nie naruszywszy wierzchniej.

Pani Flicflac jeszcze sąsiada trąca mówiąc:

— Załóż się Pan; niepodobna żeby to zrobił.

Młodzieniec zakłada się: Jegomość w drugim obrocie również dotrzymał słowa.

Butelkę szampana wygrał, projektuje trzeci zakład, krótko mówiąc przy desserze młodzieniec przegrał pięć butelek szampana, co obiad jego podnosi z pięciu do trzydziestu pięciu franków; ale towarzystwo jest niezmiernie wesołem, znajdują go miłym, zachwycające widział rzeczy, a Pani Flicflac pozwala się sciskać wszędzie.

Po obiedzie przechodzą do salonu, niektórzy zaczynają partye bouilloty. Proponują młodzieńcowi stawkę, wołałby rozmawiać z Panią de Flicflac, ale ta mówi:

Graj Pan, siadę przy tobie. Myślę że ci przyniosę szczęście. Podzielimy się.

Młodzieniec nieśmie odmówić. Siada do gry, a Pani Flicflac, przy nim tak, aby karty jego dobrze widziała, do czego najwięcej przywiązuje uwagi, zawsze jednak w chęci przyniesienia mu szczęścia.

Nazywający się marynarzem który patrzy bardzo często na Panią Flicflac, wygrywa w bouillotte z tą samą co przy stole ławnością. Młodzieniec którego strata zaczyna zapalać, stawia wszystko co ma przy sobie, przegrywa.

— A Pani Flicflac, która chciała należeć do połowy wychodzi pod pozorem poszukiwania woreczka, i nie sądzi stósowném powrócić.

Młodzieniec przegrawszy wszystko co miał, wstaje od stolika w dość złym humorze, przeklinając szczęście marynarza; ten rzuca nań wzrok okropny mówiąc że jeśli ma zamiar lżyć go, gotów jest wyjść z nim i w kącie ulicy go zabić.

Młodzieniec dziękuje, nie uważa potrzebnem doznać jeszcze tej przyjemności. Wychodzi spostrzegając że znajomość Pani Flicflac zbyt drogo mu przyszła.

Jednakże nie tylko młodzieź bywa w *table d'hôte* oszukiwaną, okaże to anegdota następująca. Rzecz dzieje się w jednym z zakła-

dów środkowych Paryża, gdzie dają obiad bez kawy za trzy franki.

Między zwykle tu uczęszczającymi są dwie kobiety mające około lat pięćdziesięciu, jakkolwiek ledwie po trzydziści sześć sobie przyznają. Przeszły wiele awantur, wiele nieszczęść, jednakże zostało im dobre mienie; a jeśli chodzą do *table d'hôte* to dla tego jedynie że lubią towarzystwo i że czułe ich serce może tu znaleźć drugie, również czułe, do którego przywiązaćby się mogło.

Obie te czułe dusze, spostrzegły młodzieńca dość często w to zgromadzenie uczęszczającego; młodzieniec jest przystojny: wygląda na birbanta co mu więcéj jeszcze dodaje wdzięku, nigdy nie ma sou, dla tego téż serce jego tém więcéj jest skłonne do otrzymania rany. Każda z dam chce mu się podobać: jedna przynosi mu czekóładowe karmelki, druga migdały w cukrze smażone; ta daje mu ładną sakiewkę, tamta elegancką lornetkę; wszystkiemu temu towarzyszą spojrzenia gorące, westchnienia mocne, ściskanie rąk, czasem nawet trącenie nogą pod stołem. Młodzieniec który jest bufonem, przyjmuje spojrzenia, ściskanie rąk, nóg i małe tych dam prezenta; daleki jednak, aby odpowiedzieć miał na ich zapęły, tajemnie umizga się do młodej cudzoziemki dość ła-

dniej, która także często do *table d'hôte* przychodzi.

Obie przestarzałe piękności nie spostrzegły skłonności ich zwycięzcy ku młodej cudzoziemce, ale bardzo dobrze dostrzegły że były rywalkami i za jednym lwem się ugaśniały. Już się nawet przemawiać zaczęły, szło tylko która ma odnieść zwycięstwo aby zaś podbić zwodniczego birbanta, podwajały przy nim swe starania, prezenta, małe galanterye.

Młodzieniec wszystko to z tém samém uczuciem przyjmował, zarówno sobie szydził z obu, one zaś coraz więcej go wielbiły, gdyż jeśli miłość jest za młodu ślepą, traci zmysły na starość.

Mężczyzna wielbiony objawił raz przyjemność którąby miał przejechawszy się ekwipażem do lasku Boulońskiego, a potem do teatru rozmaitości w osobną lożę.

W kilka dni potém obie stare przychodzą na obiad do *table d'hôte*, jedna spotkawszy młodzieńca mówi mu:

— Oto bilet do loży teatru rozmaitości na dzisiaj.

A druga pośpiesza powiedzieć:

— O siódmej godzinie powoz tu przybędzie.

Kawaler przyjmuje chętnie oba rodzaje

przyjemności, bierze bilety do teatru, kładzie do kieszeni, mówiąc:

— Ekwipaż również dobrze będzie przyjęty. Ale to niezaspakaja obu rywalek; zwracają one na siebie spojrzenia przerażające, wydarłyby sobie oczy, a wciągu całego obiadu, myślą jakby to wszystko skończyć, gdyż wiedzą iż stan taki rywalizmu długo trwać nie może, i że trzeba kres temu położyć.

Wczasy kawy obie stare kierowane jedną myślą wychodzą do sali gier; tu będąc sam na sam wybuchają:

— Pani! trzeba nam skończyć!...

— Tak Pani! toż samo myślę od początku obiadu.

— Robisz zaloty do Pana O.... zbyt widocznie!

— Zdaje się że Pani także ich nie pokrywasz!

— To prędzéj!...

— Codziennie robisz mu prezenta....

— Co dzień masz dla niego pełne kieszenie, zapychasz go cukierkami jak papugę...

— A Pani ciastkami jak pieska! Do tego dzisiaj przynosisz mu bilet do teatru rozmaitości!...

— A Pani chciałabyś się z nim przejechać!... powozem....

— Powinnaś już była spostrzedz jak ze mną jest miły.

— Gdy do mnie mówi, czyż niewidzisz jak jest przyjemnym!

— A zemną jest w zachwyceniu! nie może na maie spojrzeć bez śmiechu.

— Mówi mi wiele grzeczności; niedawno porównywał mnie do matrony z Ephezu.

— Mnie stanowczo zapewniał; że mam kibić podobną do wstydliwęj Venery.

— Jakżesz mógł ci to mówić moja pani?... Albo on zna twoją kibić?...

— Biedny chłopiec! sędzę żeby wołał widzieć.... ujście Niaquary....

— Ah Pani! oszczędzaj wyrażen proszę cię.... mówisz rzeczy nieprzyzwoite!...

— Nietyle nieprzyzwoite jak tve obejście z Panem O....

— Cóż to Pani rozumiesz przez obejście?

— To śmiesznie, ciągle wytrzeszczać na niego oczy.

— Pani byś także chciała!... ale nie możesz! twoje są czerwone jak u krulika.

— Wszystko to moja Paninie przeszkadza Panu O.... że mnie kocha.

— Panią? naprzykład!... mnie.... mnie....

— Oh! wcale nie! mnie woli:

— Musisz odstąpić od niego moja Pani.

— Pani to musisz wprzód uczynić.

Tu obie rywalki wstrzymują się chwilę; potrzebują odetchnąć, rozważyć. Obie obawiają się, wiedząc że sobie szkodzą. Odrązu jedna gwałtownie przejęta, bieży do drugiej z mniej surową twarzą mówiąc:

— Tak!... miłość obie nas ogarnęła.... obydwie równo go podbić możemy. Nie myślę aby która z nas chciała zrobić poświęcenie!..

— Oh! tegobym przynajmniej nie uczyniła.

— Ani ja, ale zamiast kłótni które się na nic nie zdadzą podam ci sposób zakończenia wszystkiego.

— Jakiż?

— Grajmy w ekarte, o.... Pana O.... ta która przegra partya, odstąpi swęj miłości i rywalce szkodzić nie będzie. Zgadzasz się na to?

— Na honor, tak, zgadzam się!... Grajmy o młodzieńca to lepiej niż rozprawiać; to godniejsze. Ale bez oszukiwania!

— Ah! nigdy nie oszukuję gdy o miłość idzie.

— Oto jest stół i karty, zakończmy zaraz; jeśli los mi poszczęści, prowadzę młodzieńca do teatru rozmaitości.

— A ja do lasku Boulońskiego. Zgadza się że ta która wygra użyje i widwiska i powozu.

— Zgadza się; niech tak będzie!

Siadają do ekarte: bardzo są wzruszone i drżą rozdając karty gdyż nigdy tak grubo nie grały.

— Król! zawoła jedna.

— Ah! Boże, woła druga, jak mi dokuczasz. - Mam Asa.

— Ah seree mi pęka!

— Proszę dalej!

— Nie! zwątpiłam już o wszystkiém!

— Pik....

— Pfe. Biję rzecz skończona.

— Ah! kochana przyjaciółko chciała-bym wygrać!

— Trzy na trzy.

— On ma tak piękne oczki

— Gram!... i zęby ...

— Nie mam tego!...

— I włosy,...

— Itego niemam!

— Zbudowany jak Apollon.

— Jestem okradzioną!...

— Wygrałam! Do mnie Pan O.... należy do mnie powóz i widowisko.

Stara która wygrała nagle opuszcza stół, przy którym rywalka jej pozostaje bez duszy; bieży do sąsiedniego salonu, gdzie zostawiła młodzieńca o którego grała w ekarte; śledzi go oczyma, ale nieznajduje. Sądzi że jest na dole i czeka w pojeździe, natychmiast zchodzi, pojazdu nie ma. zapytuje

Szwajcara: — Czy pojazd o siódmój nie zajeżdżał?

— Zajeżdżał Pani.

— A Pan O.... wyszedł?

— Tak Pani, Pan O.... wyszedł istotnie...

— Dla czego na mnie nie czekał?... Musiał ci powiedzieć gdzie go mam zastać.

— Za pozwoleniem Pani, Pan O... nie sam zszedł....

— Nie sam?... któż z jego przyjaciół mu towarzyszył?... jak to nierozsądnie....

— Ale nie Pani, nie był to mężczyzna.... miał z sobą młodą cudzoziemkę....

— Cóż ty mówisz! szwajcarze?....

— Mówię to com widział, moja Pani.

Siedli oboje do pojazdu, i Pan O.... powiedział: Podziękujesz Paniom tym od nas. Pojedziemy do lasku Boulońskiego, potem korzystać będziemy z łoży w teatrze rozmaitości.

Stara osłupiała; a gdy powróciła do swęj rywalki, rzekła jej głosem przerażającym:

— Moja kochana przyjaciółko pierwszy to raz może zdarza się dwóm grającym osobom! Przegrałyśmy obydwie!!

K O N I E C.
BIBLIOTEKA ZWIĄZKU ZAWOD.
Pracowników Inst. Ubezpieczeń Społ.
RZPLITEJ POLKSIQJ.
ODDZIAŁ I. w KRAKOWIE



SPIS ROZDZIAŁÓW.

W II. TOMIE ZAWARTYCH.

	Strona
1 Ogród Botaniczny	1
2 Damy na targu	9
3 Niedziela w Paryżu	18
4 Kupcy włosów	28
5 Magazyny nowości	35
6 Brody i Wasy	45
7 Miejsca Pocieszenia	51
8 Armata Pałacu Królewskiego	63
9 Błazny	67
10 Rzymianie	77
11 Pola Elizejskie	83
12 Kanat	91
13 Czytanie Gazet	99
14 Ogród Luxemburski	108
15 Pan jest zajęty	114
16 Burza	121
17 Smołowiec	125
18 Artyści	129
19 Gryzетки w teatrze	134
20 Łoże Aktorki	145
21 Bale maskowe w teatrze Opery	165
22 Grono Rodzinne	177
23 Table d'hote	185



01134

KSIĘGARNIA

WYDAWNICTWO

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
191926

Biblioteka WSP Kielce



0054535